№ 43. Warszawa, dnia 12 (24) Października 1874 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

KSIĄŻKI DLA LUDU.

Od pewnego czasu poruszona u nas została kwestya wydawnictw książek dla ludu, wywołując różne zdania, co dowodząc wielkiego sprawą tą zajęcia, jest faktem niezmiernie pocieszającym. Nie mieszając się do wywiązanej ztąd rozprawy, przysłuchiwałem się jej na uboczu i przyszedłem wreszcie do przekonania, że jak w wielu razach tak i w tym wypadku, brak nam praktycznego poglądu i jasnego rzeczy widzenia.

Zgadzając się jednomyślnie na potrzebę i użyteczność podobnego wydawnictwa, polemizujący głównie różnią się w przypuszczeniach, czy przedsięwzięcie uda się czy nie uda.

Kuryer Codzienny nie wątpi Gazeta Polska przeciwnie nie ma wiary w powodzenie, powiadając, że bez świadomości choć przybliżonej, ilu jest w naszym kraju potrzebujących takich książek a umiejących czytać, nikt się tego przedsięwzięcia nie imie i darmo o tem prawić.

Jeżeli nadzieje Kuryera Codziennego nie są oparte na dowodach dość wymownych, to i powątpiewanie Gazety Polskiej nie jest należycie uzasadnione, żądanie zaś cyfry przyszłych spodziewanych nabywców do niczego właściwie nie prowadzi, chyba gdyby jednocześnie ściągano deklaracye pod przymusem osobistym, że książka wydana kupioną zostanie. Wreszcie zebranie cyfry takiej jest niepodobne. Spór zatem przedwczesny: w każdym zaś razie jeżeli potrzeba wydawnictw poruszoną i uznaną została to z pewnością jest nie wątpliwą, a będąc taką dostarczy dostateczną liczbę kupujących i czytających, byle dobrym towarem i odpowiednio przygotowanym umiano ich do tego zachęcić.

W kraju naszym już dziś nie ma wioski, nie ma prawie osady, wktórej by umiejącego czytać nie znaleziono. O miastach i miasteczkach nie wspominam, bo tam umiejących bardzo wielu znajdzie. Znane wszystkim stragany z książkami, obrazkami i paciorkami przy kościołach i na odpustach po wsiach utrzymywane, kwestyą kupna książek już dawno rozwiązały. Tam należy szukać wskazówek głównej treści dziełek mających się dla ludu przysposabiać, ale tylko wskazówek i to głównych.

Jakież się więc przeważnie książki na owych straganach znajdują? Oto służące do modlitwy w kościele i oprócz senników obejmujące ciekawe opowiadania różnych zmyślonych wydarzeń zajmujących swoją niezwyczajnością. Lud więc nasz jest pobożny i ciekawy, dajmy mu zatem książki religijne i zaspokajające jego ciekawość, jeżeli zaś stragany te od chwili niemal powstania utrzymują się dotąd w dawnej prostocie i w rozwoju swym nie przedstawiają wybitnego postępu, wina to braku i książek odpowiednich i zajęcia się niemi więcej inteligentnego. Zaspokojenie tych obu braków nie tak łatwem jak się zdaje, szczególniej też przygotowanie książek któreby mimo swej treści religijnej i moralnej nie nudząc przynęcały przedstawia, nie małe trudności.

Dotąd mało na to zwracano uwagi i zdawało się prawie ogólnie, że każdy cokolwiek uzdolniony byle napisał żywot którego ze Swiętych, rozprawkę pouczającą lub powieść z treścią moralną, a już przygotował książkę dla ludu wielkiej pożyteczności. Mówiono też powszechnie przy przeglądaniu podobnych rękopismów, to dla pisma tego lub owego nie właściwe, ale dla ludu wyborne, zapominając, że co znudzi więcej inteligentnego czytelnika tym bardziej lud znudzi, nie umiejący się jeszcze zachwycać powabem stylu lub prawdami sucho wyłożonemi. Wydawnictwa też podobne nie osiągały swego celu, przez miłość dobra ogólnego ludzie dobrej woli kupowali je, ale lud nie czytał jak i my nie czytamy książki, która nas nudzi choć w najlepszej myśli wydana. Że prace literackie dla ludu odpowiednio przygotowane, znajdują u nas i pokup a tem samem i czytelników, najlepiej świadczyć może wydana Pierwsza książeczka na Gwiazdkę dla dzieci wiejskich i miejskich na rok bieżący, której cały nakład w przeciągu pół roku prawie zupełnie się rozszedł.

Kto ją kupił, nie wchodzę w to, dość że została kupioną dla tego jedynie, iż uznano ją powszechnie za dobrze napisaną. Dajmy więc i inne podobnie przygotowane, a rozkupu ich napewno spodziewać się można. Książki dla ludu Karola Forstera nie zaprzeczonej są wartości co do dążności moralnej i rozumnej, ale cóż z tego kiedy tak nudnie i bez żadnego talentu pisane, że czytanie ich staje się prawdziwą torturą. Jakże można wymagać aby lud dobrowolnie skazywał się na tak wielką męczarnię.

Przedsiewzięcie zatem całe chybione, a pieniądz i praca na nic wyłożone, zmarnotrawione. Prasa przecie nie zwróciła na to uwagi i chwaląc, podnosząc zachęcała do kupna i upowszechnienia. Zorza przez lat siedem tylko wysiłkiem poświęcenia jej redaktora była utrzymywaną dla tego jedynie, że w niej chęci dobre nie odpowiadały wymaganiom do niej przywiązanym. Nie pokrywając wreszcie kosztów papieru i druku, miała zniknąć z liczby peryodycznych wydawnictw, ale ją uratowała spółka kilku chętnych, nie poświeceniem zasiłku pieniężnego, ale zrozumieniem jasnem sposobu w jaki prowadzoną być winna. Ze czterystu też niespełna prenumeratorów, po ogłoszeniu prospektu przez nowo wchodzące do niej żywioły, odrazu uzyskała ich przeszło tysiąc trzysta, więc i to dowodem że i kupujący i czytelnicy znaleźli się, jak tylko przypuścili że znajdą to czego pragną.

Pomyślność ta Zorzy na nieszczęście rok zeszły tylko trwała, i w tym spadła w prenumeratorach do dawnej liczby podobno czterystu nie przechodzącej bo przewodniczący jej zmieniwszy zasadę zeszłorocznej redakcyi, dają dawnym trybem rzeczy arcy moralne ale też i arcy nudne i niezręcznie przedstawione, i dawną całość numeru bez przenoszenia dalszych ciągów do następnego usunęli, świadcząc tem wymownie, jak ani pojęciem ani siłami nie stoją na wysokości swego zadania.

Mógłbym tu jeszcze więcej przytoczyć dowodów zbijających obawę co do kupna książek, ale sądzę że to co przytoczyłem aż nadto powinno przekonać, iż wydawnictwo książek dla ludu jest na czasie, że potrzeba czytania wzmaga się i że dobre książki dla niego znajdą nabywców o tyle przynajmniej, iż koszta wydawnictwa z pewnością się powrócą nawet z pewnym umiarkowanym zyskiem.

Aby je przyspieszyć i rozwinąć Gazeta Polska zachęca do składek, nie wątpiąc że i redakcye pism peryodycznych pospieszą z pewnemi ofiarami i znajdą się ludzie dobrzy, zewnątrz piśmiennictwa, którzy choćby mieli przekonanie, że to na nic się nie zda dadzą jednak coś ze swej strony i tym sposobem tysiączek rubli się znajdzie. Za to powiada dalej Gazeta można wydać kilka książeczek, autorowie poczekają na honorarya jeźli się ich zrzec nie zechcą, księgarze i spółka kolportacyjna zrobią co w ich mocy, a i inni tego rodzaju do dobrego dzieła pomocnicy znajdą się także. Oddać trzeba książeczki tanio, po pięć kopiejek np: byleby je lud nabywał: niech się nawet ów tysiąc rubli nie wróci byleby podniecił chęć do czytania.

Słowa te jakkolwiek nacechowane serdeczną i poczciwą myślą, zalecają się najzupełniejszą niepraktycznością. Przedewszystkiem składkowe pieniądze komuż oddane zostaną do rozporządzenia, kto podejmie się brać na siebie odpowiedzialność moralną za dobry wybór książek mających się drukować? Potrzebny więc jest pewien skład redakcyjny, któż się zajmie jego ułożeniem? Gdybyśmy posiadali towarzystwo szerzenia oświaty, kwestya ta pomyślnie dałaby się załatwić, nie mając go, o komitecie odpowiednim próżno nawet myśleć. Składki zatem choćby najsutsze na nic się nie przydadzą.

Co do jak najtańszego przedawania książek, to wielce jest pożądanem, ale żeby wydawnictwo tak prowadzić iżby nawet nakład na niego się nie wrócił, przeciw temu stanowczo się oświadczam. Kto nie czuje potrzeby czytania książek, ten na kupno ich nie wyda nie tylko pięciu kopiejek ale nawet jednego grosza, z darowanej nic nie skorzysta i dopiero wtenczas taniość stanie się dla niego wabikiem, gdy obudzi w sobie zamiłowanie czytania.

Tę więc przywołać do życia powinno być jedynem żądaniem wszystkich ludzi, krzątających się około podniesienia oświaty. Gdy jej nie ma, tysiąc rubli utonie bez śladu jak kropla wody w strumieniu, a książki podarte rozlecą się jak garść puchu na wicher rzucona, najprędzej nawet nie przeczytane. Społeczność tak moralnie jak materyalnie nie bogaci się ofiarami pojedynczych dobrodziei, tylko pobudzeniem do działalności w tem co ją prawdziwie może uszczęśliwić.

Chcemy tę działalność za pomocą książek wskrzesić do życia, dajmy je jak powiedziałem dobre i odpowiednie, ale niech za nią kupujący płaci po cenie istotnej wartości. Rzecz lekko nabyta nigdy nie jest tak szanowana jak kupiona; szczególniej też książka, a wydatek na nią złotówki lub dwuzłotówki nie tak wielki, żeby chętnego od poniesienia wydatku tego odstraszył.

Towarzystwo biblijne angielskie, już od lat tylu Pismo Święte drukowane we wszystkich językach świata całego, rozdaje darmo i trwoni na to miliony a czy przyniosło jaki tem pożytek, dający się spostrzedz i ocenić?

Tymczasem książka dobra choć kupiona, przeczytana przez jednego, zająwszy go w treści, drugim zostanie powtórzoną: owi drudzy wiadomość o niej podadzą innym, i ta przechodząc od ust do ust obiegnie wreszcie wszystkich i natrafi w końcu na takich, co o kupno książki chwalonej postarają się.

Współudział tu jednak wszystkich jest koniecznym. Kto czuje odpowiednie uzdolnienie niech pisze, wydawcy z zyskiem umiarkowanym niech przedają, prasa peryodyczna niech czuwa nad wartością publikacyi ale z wszelką sumiennością bez przeceniania dobrej chęci która tu sama nic nie zbuduje: a ludzie dobrej woli, niech kupują i starają się przez te nabytki zamiłowanie czytania rozwijać.

Przysposabianiem podobnych dziełek już dawno się zajmuję od ćwierć wieku prawie i zawsze z najlepszem powodzeniem. Zamiar zaś stałego zajęcia się podobnem wydawnictwem, także oddawna staram się wprowadzić w wykonanie, ale różne przeszkody nie zależne ode mnie stawały temu zawsze na zawadzie. Z końcem roku zeszłego trud ten chciałem podzielić z drugiemi, zdawało mi się nawet że już jestem u celu urzeczywistnienia tak zbawiennej myśli, ale mnie nie zrozumiano i znów zostałem osamotniony. Postanowiłem zatem sam na własną rękę działać, i nie oglądając się na żadne składki i ofiary, od przyszłego nowego roku będę wydawać książki w miarę ich przygotowywania i bez stale oznaczonego terminu, dla wszystkich tych co nic więcej nie umiejąc jak czytać, pragną dziełek któreby ich zajęły i czegoś nauczyły. Cenę oznaczę jak najprzystępniejszą, zastosowaną do kosztów wydawnictwa tak aby przedaż całego dopiero nakładu pokryła poniesione wydatki. Że znajdę ludzi co mnie poprą nie wątpię na chwilę: szanownych tylko redaktorów prasy peryodycznej upraszam o słowa życzliwej zachęty i o troskliwe czuwanie nad rozwojem przyszłym całego przedsięwzięcia, w którym mogą się znaleść i niedostatki, jak w każdej pracy ludzkiej choćby z najlepszymi chęciami podjętej. Ogłoszenie odpowiednie wkrótce wydam, z wymienieniem pierwszych dziełek już w części przygotowanych do druku: Spółka kolportacyjna może tu ważne przyniejść usługi, że je spełni gorliwie jestem o tem najzupełniej przekonany inni wydawcy pójdą za moim przykładem, talenta odpowiednie pomału wyrobią się, nowe powstaną i tym sposobem kwestya podniesiona przez pisma peryodyczne wydawnictwa dla ludu, a z początkiem roku przyszłego przeszedłszy w czyn, coraz szersze obejmować będzie koło odpowiednich pracowników.

J. K. Gregorowicz

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

XXV.

RUCH.

Francya odwracając oczy podpisała traktat pokoju a w dziejach swych zapisała tę nad wszystkie najboleśniejszą datę: 27 Stycznia 1871. Żołnierze do ognisk swych wracają, obliczają się rodziny, puste domy się zaludniają.

Stary zamek Koat-an-Abat nad którym podczas wojny Franseza pozwoliła niby cieniom żałoby zapanować, nie podnosząc firanek u okien we wszystkich niezajętych pokojach, powracał teraz do ożywienia dni dawniejszych,

Wszystkie szyby błyszczały pod promieniami młodego marcowego słońca, a okna otwierały się pod różowemi paluszkami Fransezy, która z pokoju do pokoju przebiegała, umieszczając tu snop kwiatów, tam wpuszczając jasny snop słonecznych promieni. Radość rozjaśniająca piękną twarz młodej dziewczyny udzielała się wszystkim ją otaczającym.

Sędziwa panna służąca która ją wyuczyła tajemnic niewieściego gospodarstwa, uśmiechnęła się do niej z głębi swego słomą wyplecionego fotelu, a pastuszek z folwarku uśmiechnął się szczęśliwy gdy z bukietami w ręku dziedziniec przebiegała.

Ruch zegarowych skazówek zdawał się być głównym zadaniem obecnej chwili w Koat-an-Abat; Franseza co moment spoglądała na hebanowy zegareczek o srebrnym cyferblacie u paska jej wiszący, stara służąca co moment nakładała okulary aby się dobrze przyjrzeć jaką cyfrę wskazuje piękny wielki zegar, ozdabiający kominek w jadalnej sali, cała służba ciągle wchodziła i wychodziła przez kuchnią jedynie, aby okiem rzucić na zegar głośno sapiący w szerokiem malowanem pudle; pastuszek siedzący nad brzegiem rowu, poważnie badał wierzchołki drzew i praktycznie na sposób wiejski obliczał godziny na tym cudnym zegarze, co się nigdy nie spóźnia i nie spieszy: na kompasie świata, na słońcu.

W tem odezwał się dzwonek sąsiedniego klasztoru.

— Nareszcie dziesiąta!—zawołała Franseza.

A rzucając ogromny bukiet który układała w koszyk, pędem wiatru ze schodów zbiegła i dała stangretowi rozkaz aby zaprzęgał.

Kwandrans upłynął. Franseza stojąc na ganku w kapelusiku z angielskiej słomki przybranym w błyszczące pióro mewy, niecierpliwie czekała na powóz, gdy spostrzegłszy przechodzącego pastuszka zawołała:

— Która godzina — Loizie?

Dziecko zwróciło ku niej uśmiechniętą twarzyczkę.

— Słońce przesuwa się po wierzchołku wielkiego kasztana — odpowiedziało — dziesiąta niedługo bić będzie.

I rzeczywiście wszystkie zegary wybiły jednocześnie dziesiątą godzinę.

Franseza zbiegła z ganku i wsiadła do powozu.

— Na ulicę Zamkową, do panny Darganec, powiedziała stangretowi, zwracając się do tych co się jej przypatrywali, ażeby i do nich uśmiechem szczęścia się uśmiechnąć.

Powóz ciągniony przez dobrych parę koni w pięć minut stanął przed domem panny Katarzyny. W chwili gdy się zatrzymał, stare drzwi się otworzyły i panna Katarzyna z Maryą-Ludwiką na progu się ukazały. Franseza pomogła pannie Katarzynie zejść ze schodów, wsadziła ją do powozu, zmusiła Maryę-Ludwikę aby przy siostrze usiadła, a sama siadając naprzeciw tych sędziwych osób, wesoło do stangreta zawołała:

— Na banhof!

Stangret i konie zdawały się podzielać niecierpliwość Fransezy, i Marya-Ludwika nie zdołała jeszcze ułożyć wszystkie fałdy swej sukni, gdy już powóz w dziedzińcu banhofu się zatrzymał.

Franseza zaprowadziła swe towarzyszki do głównej sali, lecz jakoś usiedzić spokojnie nie mogła, więc wyszła pod pozorem wydania rozkazu stangretowi aby spocone konie przykrył derami.

W dziedzińcu spostrzegła panie Drassart w podróżnych strojach niecierpliwie się przechadzające.

Przy ich powozie stała niezliczona ilość kufrów, które lokaje znosili do banhofu.

Pani Drassart miała minę niezmiernie nadąsaną, Franseza znalazła przytem pannę Noémi znacznie zmienioną, schudła bardzo, wzrok jej coraz to więcej nabierał gorączkowego blasku.

Pani Drassart pierwsza powitała Fransezę, a Noémi dość ironicznie uczyniła uwagę, że rozjaśniony wyraz jej twarzy nie odpowiada wcale żałobnemu ubraniu które ma na sobie.

— Mój ojciec dzisiaj przyjeżdża — grzecznie odpowiedziała Franseza — chociaż w duszy noszę żałobę, jako córka w sercu jej dziś mieć nie mogę. Panie wyjeżdżają?

— Wyjeżdżamy odrzekła pani Drassart ze znudzeniem — Noémi nie może już w Kerlouis wytrzymać.

— Ktośby doprawdy mógł pomyśleć że Kerlouis to miejsce rozkoszy! — odparła Noémi mnąc gazetę w ręku.

— Moja córko, żyłam tam spokojnie i odważnie z losem się moim zgadzałam.

— Otóż to moja matka! — zawołała Noémi śmiejąc się konwulsyjnie — dla niej nie ma ani ojczyzny, ani stronnictwa, ani Francyi: jedna tylko spokojność i nic więcej!

— Jakbym ja pragnęła żebyś i ty podzielała moje uczucia w tym względzie, jęczała pani Drassart.— Czy i pani masz manją zajmowania się polityką, panno Fransezo?

— Któż się nią w tej chwili nie zajmuje — odpowiedziała Franseza.

— Kto? mama — odezwała się Noémi — już przeszło od trzech tygodni gazety w ręku nie miała.

— Ach! mam ja ich dosyć — wyjąknęła pani Drassart — czyż nie widzę że przez te czytania tracisz sen, apetyt i zdrowie? Czy pani nie znajdujesz że Noémi zmieniła się znacznie?

— Trochę — odrzekła Franseza zakłopotana.

— Widzisz Noémi — mówiła pani Drassart — nie tylko że głowę sobie rozpalasz wszystkiemi temi politycznemi kłótniami, lecz jeszcze i zdrowie tracisz. Nie masz pani wyobrażenia o życiu jakie prowadziła w Kerlouis. Od rana, w łóżku jeszcze, miała już jakąś broszurę w ręku; wieczorem zasypiała z broszurą, a cały dzień przechodził na czytaniu gazet.

— Nigdy w całości nie czytałam innych, oprócz należących do mojego stronnictwa — przerwała pogardliwie Noémi.

— Czy i kobiety powinny należeć do jakiego stronnictwa moja córko? To już dość że mężczyzni je mają. Nie jestże to i pani zdanie — panno Fransezo?

— W każdym razie, panna Noémi jest teraz uspokojoną — odrzekła Franseza; — jesteśmy zwyciężeni, ale spokojni.

— Och! spokojni — zawołała Noémi której oczy podsiniałe rzuciły błyskawicę — wulkan także spokojny przed dniem wybuchu.

— Nie mów że wszystko jeszcze nieskończone! — zawołała pani Drassart z dziecinnem przerażeniem — jeżeli tak mówić będziesz, to ja nie pojadę.

— W takim razie pojadę sama, ot i wszystko. Wiesz przecie że Ojciec i Wuj czekają na mnie?

— Wiem, i to mnie uspakaja, bo gdyby było czego się obawiać, nie chcieliby cię mieć przy sobie. Ileż mi to razy mówili! Gdybyśmy byli przewidzieli że Noémi tak na seryo weźmie te wszystkie polityczne teorye, nie bylibyśmy nigdy tak daleko z nią zaszli. Jestem więc pewną, że wszystko w zupełnem spokoju być musi kiedy nas wzywają.

Noémi patrzyła na matkę z pogardą źle ukrywaną, a przy ostatnich słowach usta jej dziwnem skrzywieniem się ściągnęły.

— Spokojny lub nie, lubię Paryż, — powiedziała — prawdziwie tęsknię za Paryżem. Wasz piękny kraj ciężý mi, powiem więcej, drażni mnie niewypowiedzianie! W naszej posiadłości nie znalazłam ani jednego człowieka coby się polityką zajmował, to już zanadto głupoty!

— Mówić ni to ni owo o rzeczach politycznych nie znając ich dokładnie, czyż to ma być dowodem intelligencyi i patryotyzmu? — zapytała Franseza — Ci ludzie nie gardłują w klubach, ale synów swoich wysłali do wojska i sami gotowi na każde zawołanie. To lepszem jest jak bawić się polityką w sposób w jaki pani rozumiesz, to jest podniecać nieporządek i wywoływać ciągłe rządowe wstrząśnienia.

W tej chwili lokaj zbliżył się do Noémi która się o kilka kroków oddaliła.

— To ona mnie ciągnie do Paryża — półgłosem i płaczliwie powiedziała pani Drassart; — jużem przywykła do nudów między temi wieśniakami, nieznośnemi, to prawda, ależ o ile bezpieczniej teraz być pomiędzy niemi, jak wśród paryzkiego ludu. Na nieszczęście moja córka tak sobie głowę rozegzaltowała temi wszystkiemi politycznemi broszurami, takie prawi czasem mowy że aż mi włosy na głowie powstają. Zapewniam panią że gdybym wierzyła tak jak ona w rewolucyą, za nic bym ją do Paryża nie wiozła: ona gotowa by była wziąść udział w najpiękniejszych szaleństwach rewolucyjnych. Myślę czasem że ta egzaltacya pochodzi z samotności w jakiej od tak dawna żyjemy, i że przejdzie przy naszych zwykłych rozrywkach i licznem towarzystwie.

— To pewno, że życie między nami, było dla pań zupełnie pozbawione wszelkich rozrywek.

— Tak, za nadto nawet, i źle uczyniłam mój pobyt tu przeciągając. Gdzie indziej byłaby się bawiła, byłaby grała, chodziła do teatru. Tutaj, czytała od rana do wieczora, a często i od wieczora do rana, a jakie książki! dobry Boże! Patrząc tylko na nie już dostawałam migreny. Ileż razy mówiłam tym panom, że to nie taką dziewczynę jak Noémi wtajemnicza się w rzeczy podobnego rodzaju. Zamiast stworzyć sobie z polityki prostą, niewinną zabawkę, jaką dla mnie zawsze była ona, Noémi czyni z niej swoje wyłączne zajęcie. Od kiedy jesteśmy w Kerlouis przeczytała wszystko co najbardziej wściekłego i podbużającego od czasów wielkiej rewolucyi. Mówię pani że to można głowę stracić. Zdrowie jej bardzo na tem cierpi, lecz żadnych uwag nie słucha, i spostrzegam się teraz, że wolność najprzód nazywa się buntem u niektórych ludzi.

— No, dość już obmawiać córkę, rzekła zbliżając się Noémi głosem sarkastycznym i niecierpliwym. Och! nie bronię ci wcale, widzę że przed panną Fransezą opłakujesz polityczne obłędy tej biednej Noémi. Stokroć wolę moje egzaltacye polityczne od owych egzaltacyi religijnych, od których mnie tak umiejętnie uchroniłaś.

— Czyż koniecznie je mieć należy? — odrzekła pani Drassart — ja przecież bez nich wybornie się obchodzę.

— Cóż znowu i ty masz głowę przewróconą.

— Ja?

— Przyznaj, że przynajmniej na punkcie bojaźni. Żyjemy w czasach gorączkowych, nic więc dziwnego że pulsa nasze prędzej biją. Co do mnie, ja żyć nie mogę po za Paryżem, tem ogniskiem najszlachetniejszej gorączki.

— Gorączka sprawia zapalenie mózgu moja córko, ja nienawidzę gorączki.

— Ty mamo jednem słowem nienawidzisz wszystkiego co jest objawem życia. Ja wolę dostać zapalenia mózgu aniżeli paraliżu. Ale chodźmy już, oto i pociąg z Quimper nadchodzi.

Noémi bardzo demokratycznie skłoniła się Fransezie i pociągnęła do banhofu swą narzekającą matkę.

— Jeszcze dziesięć długich minut, rzekła do siebie Franseza której myśl nie przestawała obliczać czas ulatujący.

I wróciła do panny Katarzyny i Maryi-Ludwiki czekających z najprzykładniejszą w świecie cierpliwością.

Nareszcie, delikatny słuch Fransezy rozróżnił wśród harmonijnego szumu wiatru pomiędzy drzewami, urywane, gorące sapanie lokomotywy: oznajmiła to swym towarzyszkom i stanęła przed szklannemi drzwiami.

Z powodu jednego z tych maluczkich wypadków które się zdarzają jakby dla nauczenia cierpliwości biedną niecierpliwiącą się ludzkość, pociąg zatrzymał się w innem miejscu jak zwykle i Franseza widzieć go nie mogła. Zaczęła więc machinalnie stukać o szybę, aż na ten odgłos zbliżył się jeden z urzędników kolei, który ją poznawszy uprzejmie drzwi otworzył.

W tej chwili pan de Kerouarn nadchodził cały zdyszany i przyjął w swe ramiona córkę naprzeciw niego wybiegającą.

Zamienili jedno spojrzenie, jeden uścisk, z podwójnym wykrzyknikiem czułości pełnym, poczem Franseza szybko rzuciła okiem na nielicznych podróżnych schodzących się na platformę banhofu.

Wszyscy byli nieznani jej lub obojętni. Promieniejąca jej twarzyczka spospępniała i poszła za ojcem do wielkiej sali.

Tam znaleźli się zupełnie sami, tam mogła już ojcu do woli się przypatrzyć i ucałować jego białe włosy. Gdyż całkiem białe się stały, i bohaterski starzec nosił na twarzy, niestarte piętno trudów niedostatku i nędzy jakie przeniósł podczas oblężenia stolicy. Ubranie jego wisiało na plecach ciężko pochylonych, na mocno ogorzałej twarzy ostro się zarysowały kości policzków i czoła, a włosy i broda zupełnie zbielały.

Ta fizyczna zmiana boleśnie Fransezę uderzyła.

— Biedny ojcze! biedny ojcze! szepnęła dotykając się z czułością jego wystających policzków i kątów jego czoła.

— Droga córko! droga moja córko! powtarzał pan de Kerouarn patrząc na swą piękną Fransezę której świetna młodość tak mężnie zniosła ciężki krzyż cierpienia i niepokoju.

— Ojcze, jakże musiałeś cierpieć! jak widać żeś cierpiał!

— Tak, cierpiałem Sezo, jakiem nigdy w życiu nie cierpiał. Głód, zimno, wstyd i wściekłość, starały się naprzemian z nóg zwalić twego starego ojca.

— Nie byłeś ranny ojcze?

— Nigdy; lecz rzeczywiście do cudów to zaliczyć można. Wszakże niedostatek i moralne cierpienia dokonałyby tego czego kule pruskie nie mogły, gdybym nie miał przy sobie dwóch aniołów stróżów, Anny i Henryka. W wielu razach, na prawdę życie mi ocalili. Ileż to razy Anna mi przysyłała pożywne specyały które udawało jej się dostawać sam nie wiem jakim sposobem. Ileż razy Henryk wyrzekał się swej porcyi wina i mięsa, aby moją powiększyć. Ile znów razy odmówił sobie koniecznego spoczynku aby przyjść mnie odwiedzić w bastionie gdziem wściekał się z bezsilności.

Franseza wzruszona milczała a głos jej drżał gdy odezwała się po chwili:

— Ojciec mi donosił że pan Henryk i Anna z nim przyjeżdżają, dlatego przywiozłam nawet do banhofu i pannę Katarzynę.

— Anna nie chciała opuszczać swego ambulansu, — odpowiedział pan de Kerouarn — lecz Henryk ze mną przyjechał.

I pogłaskał po twarzy Fransezę która mocno poczerwieniała.

— Jak pięknie wyglądasz moja córko? ciągnął z uśmiechem nieco złośliwym.

A potem dodał poważnie:

— No, patrz mi prosto w oczy. Czy doprawdy Henryk podobałby ci się na męża?

Franseza mimowolnie oczy spuściła, lecz wdzięcznie skłoniła głową.

To dobrze, pomówimy jeszcze o tem — powiedział wesoło— bo jeżeli zadawalnia cię jako mąż, mnie toż samo jako zięć się podoba. Widziałem go w ogniu, to mi człowiek! to serce mężne i pełne poświęcenia! Gdyby wszystkie nasze oddziały z takich żołnierzy były złożone a wszyscy oficerowie mieli podobnego ducha na swe osobiste potrzeby, nie bylibyśmy doszli do tego co jest dzisiaj. I pomyśleć że z tego lwa chciano uczynić lichego notaryusza! To już chyba panna Katarzyna mogła powziąść myśl podobną! Zdaje mi się żeś mówiła że panna Katarzyna jest na banhofie?

— Tak mój ojcze.

— Henryk zapewnie jest przy niej. W tej chwili kuleje trochę z powodu jednej z ran która się otworzyła. Lecz dzięki Bogu nic to nie jest, nigdy nie był on ciężko ranny, tylko draśnięty nieraz, ale nie można czegoś nie oberwać gdy się jest zawsze na przodzie z pałaszem w ręku. Dziwną też była nasza konwalesencya. Nie wchodziłem w szczegóły aby tobie niepokoju nie sprawiać, lecz nawet w ambulansie Bliźniąt prowadzonym przez Annę, bardzośmy cierpieli. Henryk z ran których pielęgnować nie chciał, a ja z wycieńczenia. Żebyś mnie była wtenczas widziała drogie dziecię! Podobny byłem do chodzącego kościotrupa, miałem trochę przedpotopową minę panny Katarzyny. Brat Karol bez ogródki powiedział mi, że nie mogę myśleć o podróży i to z tego powodu prędzej przyjechać nie mogłem. A teraz idźmy do Henryka i do brata Filipa, który bardzo wymizerniał także i którego Henryk przemocą do Quimperlé przywozi aby sobie wypoczął. Anna doskonale nas doglądała, ale zawsze jej rosół z koniny wart licha.

Starzec powstał a kładąc rękę Fransezy na swojem ramieniu przeszedł do ogólnej sali.

Panna Katarzyna, Marya-Ludwika i brat Filip który jak dobrze mówił pan de Kerouarn był własnym tylko cieniem, siedzieli na drewnianej ławce; Henryk w mundurze, oparty na lasce, stał przed niemi.

Rozkazująca postawa z natury mu właściwa doskonale przystawała dzielnemu oficerowi, który krwią własną okupił każdy kawałek złoconego galonka zdobiącego rękawy jego tuniki.

Spostrzegłszy Fransezę z żywością parę kroków ku niej postąpił, i długa laska na której się opierał upadła z łoskotem przy nogach młodej dziewczyny; ta szybko się schyliła, podniosła ją i podchodząc do Henryka z wdzięcznym uśmiechem mu ją podała.

— Fransezo czem przyjechałaś?—zapytał pan de Kerouarn.

— Poczwórnym koczem mój ojcze.

— A więc odwieziemy Henryka do Quimperlé gdyż dotąd z trudnością chodzić może.

Pan de Kerouarn podał rękę pannie Katarzynie, pan Filip Maryi-Ludwice, Henryk Fransezie. Henryk szedł zwolna, z trudnością nawet, i przez czas przejścia z banhofu do powozu młodzi ludzie wiele-by słów mogli z sobą zamienić, a jednak zachowali milczenie; lecz jakże wymownem ono było!

Powóz się napełnił; Henryk siadł na koźle i udano się w stronę ulicy Zamkowej. W drodze Franseza i Henryk spierali się o brata Filipa, nie chcąc go zostawiać samego w jego pustelni Pouldu.

Sprzeczka zaczęta w powozie na nowo się rozpoczęła na źle przystających kamiennych schodach starego domu w ulicy Zamkowej.

Brat Filip odpowiadał uśmiechem na przytaczane powody z jednej i drugiej strony, a podczas gdy tak rozprawiali, pan de Kerouarn odprowadzał pannę Katarzynę do zimnego, ponurego salonu.

— Spodziewam się mieć zaszczyt ujrzeć panią w krótce—powiedział ostatni ukłon oddając. Jeżeli pamięć mnie nie myli, blizko rok temu, prawie w tej samej porze, uczyniłaś mi pani zaszczyt odwiedzenia mnie w Koat-an-Abat. Kto wie? czy jednego pięknego paranku nie przyjdzie pani chęć obaczyć czy czereśnie są już kwiatem okryte, bo wreszcie, i mój sposób myślenia.... do tego czasu mógł się zmienić.

Potem rodzaju oświadczyn opuścił pannę Katarzynę i wyszedł na ganek do brata Filipa zawsze wahającego się między Fransezą a Henrykiem o niego się spierającym.

— Ba! zabieram ciebie i basta! powiedział wesoło wsuwając swą rękę pod ramię starego uczonego. Tutaj byłbyś tylko ciężarem dla panny Katarzyny, dopóki Anny nie ma, a jak z nami pojedziesz to Henryk będzie miał powód częściej nas odwiedzać.

Ta uwaga pokonała opór Henryka, a Franseza i jej ojciec zabrali pana Filipa do Koat- an-Abat.

XXVI.
JUTRZENKA SZCZĘŚCIA.

Panna Katarzyna ubrana w czarną atłasową mantylkę, w najwyższy swój wyrurkowany czepek na którym jaśnieje kokarda jej z najpiękniejszej wstążki, w swych sławnych trzydziestoletnich trzewikach i oparta na wielkim czerwonym parasolu, trzymała regestrzyk pod ręką, po raz drugi czyni pobieżny spis bogactw zamkniętych w świecących szafach.

Przegląd swój odbywa z tą samą metodyczną starannością z jaką pierwszy raz to czyniła i w regestr zapisuje uważnie ilość i rodzaj bielizny posłanej do ambulansów.

Nie Marya-Ludwika pomaga jej w dzisiejszej pracy, lecz Henryk. Henryk wyleczony ze swej rany, wystrojony w nowy mundur, a ozdobiony zwłaszcza jednym z tych wyrazów zwycięzkich i rzewnych zarazem, zdradzających wewnętrzne szczęście człowieka, gdyż człowiek tak po części wygląda jak gdyby zdobywał swe szczęście.

Henryk chodzi z uległością od szafy do szafy, ciągnąc za sobą swój pałasz; Henryk cierpliwie liczy palcami stosy pożółkłej bielizny; Henryk zamyka i otwiera szuflady; Henryk poważnie srebra sprawdza.

Młody oficer nie zdaje się być nawet z niecierpliwiony powolnością swej sędziwej krewnej; szczęście u istot silnych nosi zawsze cechę spokoju a zahartowana dusza Henryka bezwątpienia zyskała jeszcze więcej energii w ciągu tych kilku miesięcy.

Jako żołnierz i jako Francuz żył on w cierpieniach fizycznych i moralnych, znajdował się ciągle oko w oko ze śmiercią i potrafił się wznieść do szlachetnej i zupełnej pogardy życia. A jeśli kto zdołał dość pogardzić życiem ażeby honor nad nie przekładać, zyskał najpotężniejszą siłę, siłę nad wszystkie niepokonaną.

Panna Katarzyna nie ma już nic do zapisania: Henryk szybko zamyka szafy i uśmiecha się z radości widząc swą szanowną ciotkę zamykającą regestrzyk, biorącą go pod lewę ramię, a w rękę prawą ujmującą czerwony parasol.

Wchodzą oboje i idą prosto do Koat-an-Abat, w głębokiem milczeniu, przerwanym przez pannę Katarzynę dopiero w alei czereśniowej, których ostatnie kwiaty drogę uściełają. Uwiadamia Henryka że w tym właśnie miejscu, zaledwo rok temu, ukazała się jej Franseza.

W chwili gdy panna Katarzyna wywoływała te wspomnienia, Franseza nie spacerowała jak wtedy pod cienistemi czereśniami, lecz badawcze oko mogło było dopatrzyć jej jasną główkę z po za gę-tej, zieleni kapryfolium opadającej jak zasłona w około małego tarasu, z którego widzieć można było drogę wiodącą do miasta.

Goście przeszli przed jej wzrokiem nie widząc jej i zostali wprowadzeni, na ich żądanie, do pana de Kerouarn, ubranego w swój mundur ochotniczy, a na głowie mającego małą płaską czapeczkę z obwódką złotą.

Widząc wchodzących pannę Katarzynę i Henryka, powstał szybko, a zamieniwszy uśmiech porozumienia z Henrykiem, powitał z uszanowaniem pannę Katarzynę mówiąc:

— Jestem prawdziwie szczęśliwy widzieć panią w Koat-an-Abat.

— I ja szczęśliwą jestem spotkać tu pana panie hrabio. Jakże zdrowie pańskie?

Pan de Kerouarn westchnął i rzekł wstrząsając swą osiwiałą głową:

— Ha! ja mam się tak jak Francya, dość licho! Miałem nadzieję że powietrze rodzinne, dawne nawyknienia, zresztą i wygody któremi tu jestem otoczony, wrócą mi stracone siły, ale w moim już wieku, podobne wyniszczenia już się nie leczą, już się nie wynagradzają, zwłaszcza gdy tu śmiertelna boleść zaległa.

I prawą rękę położył na sercu.

— Panie Hrabio, przyjdzie dzień odwetu, głosem głębokim i pewnym odezwała się panna Katarzyna.

— Mam tę nadzieję, lecz ja nie ujrzę dnia tego, a tymczasem, patrzę na to co się dzieje, a to co widzę, może tylko zakrwawić serce każdego dobrego obywatela. To też czując że wraz z Francyą gasnę powoli, więcej niż kiedy myślę i biedzę się, komu zostawić mój skarb najdroższy, moją kochaną Fransezę.

Panna Katarzyna żywo schwyciła swój zielony regestrzyk i z uroczystym gestem starcowi go podała.

— Dobrze, dobrze, panno Katarzyno, rzekł pan de Kerouarn nie biorąc go do rąk, już sam widok tego małego zeszytu oznajmia mi, że pani przychodzisz proponować mi zięcia.

I fotel swój przysunął do kanapki na której staruszka siedziała. *d. c. n.*

LIST TRZECI
Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,
w Ameryce północnej

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wedle systemu tutejszego wpakowano nas po trzech i czterech do jednego pokoju. Ludzie tutejsi pojąć nie mogą by nie żonaci mężczyzni osobne mieli pokoje a co gorzej, chcą by po dwóch w jednym spało łóżku. Ja co zawsze krakam jak wrony gdy pomiędzy wrony wlazłem, nie narzekam gdy wypadnie spać w dwójkę w łóżku mającym sześć stóp szerokości, więc dość przestronnem. Europejczycy krzywią się bardzo na taki zwyczaj.

Rozgościwszy się w hotelu, spędziliśmy resztę dnia na oglądaniu Broadway czyli głównej ulicy w Nowym Yorku i na przechadzce w parku.

Tylokrotnie drukowane opisy Nowego Yorku wzbraniają mi rozwlekle wyliczać Wam co tam widziałem. Wspomnę jednak iż Broadway prześciga liczbą powozów i gawiedzi na chodnikach nawet ulice Londynu: parku takiego jak tu żadne europejskie miasto nie posiada. Nie tworzy on równiny jak Hydepark lub Prater, lecz wzgórza, doliny, parowy, łąki i gaje przypominają w nim lasy przyrodzone. Za to muzeum i menażerya w parku, nie zajmą człowieka przybywającego wprost z Londynu.

Domy N. Yorku, nawet w owych ulicach gdzie bruk dobry a kapusta i pomidory nie gniją w rynsztokach, są niepokaźne. Broadway ma pyszne czteropiętrowe kamienice jak Paryż, lecz tuż obok takiego gmachu stoi dom o dwóch tylko piętrach, wązki i nie pozorny jak kamieniczki londyńskie. Ulica tak zabudowana nie posiada ani wspaniałości Rue Rivoli, ani tej miłej prostoty Strandu, jest to ni to ni owo, pół angielskie a pół francuzkie.

Wróciwszy na wieczerzę do domu, zastaliśmy na stole pomiędzy innemi jarzynami i gotowaną młodą kukurydzę. Potrawę tę znałem z Podola, Wschodu i Australii, i wiem więc jak ją jeść wypada: umyślnie jednak nie brałem się do niej aż angielscy moi znajomi jej zakosztują.

Oczywiście iż nie widziawszy nigdy nic podobnego u siebie, zabrali się do kukurydzy z widelcami i nożami i krając poczęli jeść ziarna i głąby. Wnet splunęli i poczęli się dziwić jak ludzie mogą jeść taką niesmaczną jarzynę. Nawet gdy uśmiawszy się do woli, pokazałem jak wypada ogryzać ziarka masłem stłuszczone a głąbig odrzucać, nie mógłem ich zwabić do powtórnego skosztowania amerykańskiego przysmaku.

I na pomidory czyli tomaty jak je tu zowią, nie mogłem ich namówić. Anglik zawsze myśli iż wszystko czego w anglistej swej wyspie nie widział niezdrowe lub niesmaczne.

Zwiedziliśmy jeden z najlepszych teatrów w Nowym Yorku, zwany Broadway teatr. Obok naszych europejskich, wyglądałby ten gmach na zewnątrz jak buda a wewnątrz jak żebrak. Nie wiem czy tysiąc osób mieści, lóż w nim tylko cztery, widzowie siedzą na krzesłach stojących na dwóch galeryach. Poniżej dolara nie dostanie siedzenia. Opera wielka, do której poszliśmy nazajutrz, nie wyrówna teatrowi Skarbka we Lwowie. Dekoracyi tu używanych Kraków by się powstydził, lada Residenzstadt niemiecki ma lepszy balet. Za to śpiewacy dobrzy i muzyka dobrana. W teatrze Broadway i sztuka i aktorowie byli wyborni, ubawiliśmy się więc nieźle, zwłaszcza iż ani panowie ani panie angielskie towarzyszący mi, nie widzieli nigdy bardzo świetnych teatrów. Zdziwili się i nie dowierzali mi gdy powiedziałem, iż wielka paryzka opera umieściłaby więcej widzów jak, wszystkie teatra w Nowym Yorku.

Nazajutrz z rana chciałem wziąść fiakra: aby objechać miasto przez godzin kilka. Przekonałem się jednak wkrótce, iż podobna instytucya jak stanowisko jednokonek, zupełnie tu nie znana. Gdzieniegdzie ujrzysz kilka powozów niezgrabnych, zaprzężonych dwoma lichemi szkapami. Dwugodzinna przejażdżka w tych kolasach, pewno zbudowanych za czasów ś. pamięci jenerała Washingtona, kosztowałaby pięć dolarów. Wolałem więc wsiąść na kar i za pięć centów pojechać milę polską. [1]).

Tramwajów w Nowym Yorku co nie miara i bardzo tanie. Cały świat niemi tu jeździ, bogaci i ubodzy wskakują na wóz tramwajowy czyli *Kar* gdy chcą się udać z jednej części miasta do drugiej.

Oprócz karów nie wiele tu omnibusów z wyjątkiem owych co po Broadway krążą. Tam, wskutek ogromnego ścisku, niepozwolono kłaść żelaznych szyn. Publiczność musi więc jeździć w podwójnie droższych omnibusach.

Urządzenie tych wozów o tyle różni się od zwykłych europejskich, iż ani na dachu ludzie nie jeżdżą ani też nie ma tu tak zwanych konduktorów, czyli chłopców stojących na tylnym stopniu pojazdu i zbierających pieniądze. Długi rzemień łączy drzwi powozu z ramieniem woźnicy siedzącego na koźle, a skoro nowy gość wstępuje do wnętrza, wnet szarpnięcie odmykających się drzwi dając się czuć woźnicy, oznajmuje mu iż 10 centów ma otrzymać. Gdyby gość ociągał się z wypłaceniem tych dziesięciu centów (co i mnie się wydarzyło gdyż nie wiedziałem komu je zapłacić), przypomina mu się woźnica dzwonkiem wiszącym wśród powozu, i połączonym z kozłem za pomocą druta. Po takiem upomnieniu podałem pieniądze przez małe okienko w dachu.

Dlatego wspomniałem o tym zwyczaju iż i on cechuje cokolwiek stosunki tutejsze. Konduktora europejskiego utrzymują po części by woźnicę kontrolował, furman zaś jego pilnuje; w ten sposób właściciel powozu ubezpiecza się przeciw sprzeniewierzaniu się służby. W niektórych miastach, jak np. w Wiedniu, nawet bilety i kartki na ten cel wydają, by konduktorowie nie mogli okradać właścicieli.

Tu jednak, gdzie ludzie płatni nie jak niewolnicy, gdzie gdy człowiek nie chce wylewać potu za parę złotych na dzień, panowie nie krzyczą na drożyznę robotnika, mniej widocznie obawiają się by sługa przeniewierzał się panu. Uważałem nie tylko w omnibusach lecz i w wielu innych miejscach, że kapitaliści spuszczają się tu na uczciwość pracujących, płaconych stosownie do wymagań ucywilizowanego wieku. Pozwól ludziom by się najedli do syta i ciepły dom i odzież mieli, a mniej pewno skłonni będą do drobnych kradzieży jak gdyby żyli ziemniakami i solą.

Później dostrzegłem inne urządzenie amerykańskie w karach tramwajowych. W ulicach mniej ludnych a szczególnie w mniejszych miastach, nie dwa konie lecz jeden tylko ciągnie wóz o wiele mniejszy od karów dwukonnych. I wtych wozach nie ma konduktorów lecz by nie rozrywać zbytnie uwagi woźnicy, urządzają w nich szklanną skarbonkę do której podróżni wrzucają swe pięć centów. Woźnica ogląda się czasami i liczy podróżnych i sztuki pieniędzy na szklannym dnie skarbonki. Gdy się przekonał iż wszyscy zapłacili, porusza sprężynę i spuszcza pieniądze ze szklannej puszki w inną żelazną, wiszącą tuż pod nią. U nas w Europie urządzenie takowe pewnoby nastręczało pokusę do oszukiwania woźnicy, dostrzegłem bowiem iż gdy wagon pełny osób, trudno je policzyć dokładnie. Nie jeden mógłby nie wrzucić pieniędzy do skrzynki, widocznie nie lubią tu jednak odgrywać roli oszustów za pięć centów, chociaż wielkie oszustwa tak często się zdarzają w Ameryce.

Kary amerykańskie zawsze przepełnione jak wiedeńskie. Mężczyźni tutejsi nie nader zdają się grzeczni w odstępowaniu damom miejsc do siedzenia. Aż przykro mi się robiło gdym patrzał na panienki zmuszone do stania w wagonach, podczas gdy panowie siedzieli na wygodnych krzesłach.

Przypatrzywszy się miastu pojechałem do Castle garden, po części spodziewając się tam listów, poczęści dla wymiany złota angielskiego na amerykańskie papiery i wybadania jak też obchodzą się z przybyszami.

Zpoczątku wzbraniano mi wstępu do wnętrza rotundy, mieszczącej bióra emigracyjne i wychodźców. Powiedziano mi iż tylko tych wpuszczają, którzy mają tam znajomych lub ważny jaki interes. Gdy mnie trzymano na dworze, weszło kilka osób do wnętrza. Niektóre z nich wcisnęły coś do ręki Cerbera odźwiernego, domyśliłem się więc iż złoty lub srebrny klucz i tu równie wszystkie podwoje otwiera, jak w Turcyi.

Nie opłaciłem się jednak lecz powiedziałem, iż jestem nowo przybyłym Europejczykiem i chcę kupić bilet na pociąg jadący z Nowego Yorku na zachód. Wpuszczono mnie natychmiast, a wypytawszy się w biurze pocztowym o listy i nie znalazłszy żadnej wieści z Europy, poszedłem do kantoru wymiany pieniędzy.

Właśnie podczas bytności mej w Nowym Yorku wydarzył się jeden z owych bankowych i giełdowych ogólnych popłochów, tak częstych w Ameryce. Jak podczas *Krachu* wiedeńskiego (nazwanego przez pewne pismo galicyjskie praskiem giełdowym) tak i tu, połowa banków i spekulantów zawiesiła wypłaty, akcye przynoszące 100% ażja przed kilkoma dniami, pospadały poniżej pari, a wczorajszym milionerom zostały li szafy pełne papierów bez wartości.

W skutek strat poniesionych przez publiczność składającą pieniądze w bankach, nastąpiła ogólna nieufność. Kto miał gotówkę lub rządowe banknoty zamknął je do skrzyni, banki nawet zdrowo stojące nie mogły wypłacać pieniędzmi, lecz płaciły rozkazami płatniczemi na tak zwane Clearing house, czyli ogólny depozyt w którym spoczywają wadya, składane wedle praw tutejszych przez każdy bank w ręce rządowe i tworzące ich kapitał rezerwowy. Lecz gdy te wadya równie się składają już to z obligacyi długu państwa, już to z innych dobrych papierów, które spieniężyć bez straty niepodobna przy dzisiejszem stanie rzeczy, więc rozkaz płatniczy na nich ubezpieczony, ściąga stratę przy wypłacie. Ta strata czasami jeden od sta wynosi, czasami mniej lub więcej.

Przybysz z Europy ani nie może wiedzieć o popłochu giełdowym, który się wydarzył gdym płynął przez morze, ani nie powinien otrzymywać w kantorze wymiany założonym w gmachu rządowym, za dobre swe srebro i złoto, świstków na jakiś tam Clearing house, który i odszukać mu nie łatwo i gdzie osobom nieznajomym nie doręczają gotówki. Ufając iż przecież sumienniejszą cenę dostanę tu za złoto jak gdybym do pierwszego lepszego wstąpił banku, wymieniłem znaczną kwotę za rozkaz płatniczy, później miałem mnóstwo kłopotu zanim mogłem rozkaz mój znów na gotówkę zamienić. Przekonałem się także, iż urwano mi przeszło $1\frac{1}{2}$ % na cenie złota, bo gdy ażio na giełdzie $9\frac{1}{2}$ od sta wynosiło, tu dostałem tylko 8%.

Niestarczy mi na wyraz dość pogardliwy, by określić nikczemność zarządu, tolerującego podobne nadużycia. Gdyby zwykły wekslarz mnie oszukał nie miałbym prawa narzekać, lecz jeżeli udaję się do instytucyi nibyto założonej dla opieki nad nowo przybywającemi tu cudzoziemcami, i tu wpadam w łapkę i straty ponoszę, wolno mi nazwać całą gminę Nowego Yorku pomocnikami rzezimieszków.

Cóż dopiero powiem o innych urządzeniach w Castle garden! Owi panowie otwierający sobie drogę doń za pomocą srebrnego klucza, to agenci rozmaitych kompanji sprzedających emigrantom ziemię której nie widzieli jeszcze; lub pośrednicy biór najmu robotników poniżej zwykłej ceny pracy. Niegrzeczność i gburowatość urzędników w Castle garden tak zniechęca bawiących tam a raczej uwięzionych wychodźców, iż byleby się wydostać z gmachu z którego ich nawet na przechadzkę nie puszczają, idą lada z kim i gdzie i wpadają w ręce oszustów.

Wprawdzie gdyby czekali cierpliwie, znosili impertynencye panów dozorców i pozwalali się oglądać co chwila fermerom poszukującym robotników, docze-

---

[1]). Dolar ma 8 złp. mniej więcej. Dzielą go na sto centów, cent wyrównywa w wartości jednemu sou francuzkiemu a 20 centów frankowi. Szyling tutejszy czyli $12\frac{1}{2}$ centów równy połowie angielskiego.

kaliby się korzystnego zajęcia. Popyt za silnemi chłopami i dziewczętami zd Inemi do służby tak tu znaczny iż gdy jednego dnia 1,900 osób, przybyło do depot w Castle garden, wszystkie przed końcem tygodnia znalazły zajęcie. Bywają jednak tygodnie mniej dobre dla biedaków, a wtedy byleby umknąć z depot wpadają w sidła spekulantów i owych rekinów zwanych właścicielami biór wywiadowczych.

Gdyby nie nadzwyczajna zdolność Stanów Zjednoczonych do spożytkowania pracy ludzkiej, to postępowanie osób rządzących w Castle garden i ogólnie sposób w jaki cała ludność Nowego Yorku obchodzi się z greenhornami (przybyszami), dawnoby zatamowały prąd wychodźczy. Lecz taka tu łatwość w znalezieniu zajęcia dla prostaków, zapłata tak odpowiednia do pracy, obchodzenie się chlebodawców ze sługami tak ludzkie, iż każdy Europejczyk zapomina chętnie po roku pobytu w Rzeczypospolitej, jak go pędzono niby wołu do Castle garden, jak wyłudzono zeń tam grosz z domu przywieziony, jak fermer rubaszny obmacywał go niby konia, ażali muszkuły ma silne i pierś zdrową i jak urzędnicy nim pomiatali. Poduczywszy się raz języka i nabywszy śmiałości niezbędnej w krajach Nowego Świata, już pomiatać sobą nie da. Niebawem i on wedle przykładu tubylców, uważa greenhorna za osobę przeznaczoną na pastwę i wyzyskuje często nawet ziomka.

Jak zaś wyzyskują greenhornów dowiódł mi przykład owego młodego ogrodnika niemieckiego, chłopaka siedemnastoletniego, który ze mną w jednej spał kabinie. Miał on jechać do jednego z nami hotelu, lecz kufer jego poszedł przez jakąś pomyłkę do Castle garden, musiał więc iść tam z wychodźcami trzeciej klasy. Odzyskawszy swe rzeczy chciał się wydostać z zakładu rządowego niechciano go jednak zeń wypuścić, gdyż nie miał ani krewnych ani znajomych w mieście. Znajomi jego mieszkali o jakie sto mil od Nowego Yorku, tam więc chciano go wyprawić pociągiem odchodzącym wieczorem.

Prawo, wzbraniające wychodzić na ulicę osobom nie mającym przyjaciół i zajęcia już czekającego na nich ustanowiono by przeszkodzić zbieraniu się mas ubogich i próżniaczych w mieście. Trudno sarkać na ustawę tak rozsądną. Gdyby ją wykonywano w całej surowości i bezstronnie, skutki jej byłyby dobre lecz przykład naszego Niemca dowiedzie jak jest wykonywaną.

Jeden z urzędników podszepnął mu do ucha, iż gdyby zapłacił parę dolarów to go wydobędzie z Castle garden. Niemiec mając dość pieniędzy i chcąc ujrzyć miasto, chętnie się zgodził na okup. Wtedy powiedziano mu adres jakiegoś domu niemieckiego, powoławszy się na adres ten i twierdząc iż osoba wymieniona w nim jest jego przyjacielem i gotowa poręczyć za nim, spełnił czczą formalność i wydostał się na ulicę.

Tenże sam urzędnik polecił mu natychmiast by wziął dorożkę i pojechał do hotelu. Wsiada nieborak do powozu, wożą go po całem mieście i zamiast do hotelu wskazanego mu przez nas przybywa do jakiegoś nędznego boarding house, czyli domu gdzie wikt i pomieszkanie dostarczają. Tu musiał zapłacić 8 dolarów dorożkarzowi, a właściciel domu liczył mu po 5 dolarów dziennie podczas gdy w domu tak lichym inni płacili po 5 dolarów tygodniowo.

Znalazł się jednak pomiędzy gośćmi w domu tym jakiś poczciwy amerykanin, mówiący po niemiecku. Ten dowiedziawszy się od chłopaka jak go skrzywdzono pokazał mu drogę do naszej gościny. Ja odzyskałem kufer jego od gospodarza w boarding house i odtargowałem parę dolarów z zapłaty za dzień pobytu.

Podobnych zajść łatwoby uniknęli wychodźcy europejscy, gdyby zamiast udawania się do Nowego Yorku, w którym oszukiwanie ich urządzono systematycznie i podły zarząd miejski patrzy przez szpary na krzywdzicieli, płynęli z Anglii lub Hamburga do Baltimory, Bostonu lub Filadelfji. Tam nie istnieją więzienia jak Castle Garden, łatwość znalezienia pracy większa a że miasta same o wiele mniejsze łatwiej im się dopytać o dworzec kolei lub zorjentować na ulicach.

Wróciwszy z Castle garden z biletem w kieszeni na pociąg tak zwany emigracyjny jadący nazajutrz do Chicago, musiałem odprowadzić na dworzec owe panie które przybyły z nami z Anglii. Biedaczki również wpadły w łapkę i nabyły w Castle garden bilety na podobnyż pociąg, udający się na Zachód. Pociągi te, jak się przekonacie z późniejszych mych opisów, odpowiadają wymaganiom wyrobnika niemieckiego lub włoskiego, lecz dla dam angielskich lub nawet przyzwoitych wieśniaczek polskich, wcale nie miłe. Przejazd w nich trwa dwa razy dłużej jak w innych, lecz też tańszy o 30%.

d. c. n.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrowa p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVII.

Literatura tegoczesna,

panowanie Aleksandra I-go.

(Ciąg dalszy).

Podczas świetnego panowania Katarzyny II-ej wyższe klassy społeczne, ściśle zaznajomione z kwiatem wysokiego towarzystwa francuzkiego, z łatwością przyswoiły sobie wszystkie żywioły owczesnej cywilizacyi i piśmiennictwa. To też od owej epoki, życie rossyjskie było prostem naśladownictwem życia europejskiego, i w tych warunkach rozwijało się aż do roku 1830. I tak, gdy w końcu XVIII-go wieku, zaczęto zwalczać dążności klassyczne w różnych piśmiennictwach europejskich, opór ten dał się niebawem uczuć i w Rossyi.

Najznakomitsi pisarze Europy zachodniej, zrozumieli fałszywy blask życia dworskiego, brak naturalności w tak zwanej literaturze klasycznej i niebawem wzrok swój w przeciwną zwrócili stronę. Zaczęli szukać treści do swych utworów w życiu patryarchalnem, w pośród rybaków i pasterzy, zstąpili z wielkich wyżyn natchnienia, aby się milszym i tkliwszym oddać uczuciom. Zamiast wybierać za bohaterów swoich ludzi wpływowych, królów lub wodzów, szukali ich w mniejszym, więcej zbliżonym do nich świecie, w pośród pięknej, tak mało jeszcze zbadanej przyrody, i mniej się troszczyli o obudzenie zapału, jak o wywołanie słodkich wzruszeń. I to dało początek literaturze uczuciowej, której przedstawicielem był ówczas we Francyi Rousseau, a w Rossyi Karamzin.

Lecz i ten rodzaj piśmiennictwa nie długo zadawalniał ukształconą mniejszość literatów, gdyż łzy i westchnienia pasterek były równie nienaturalne, jak napuszone rozprawy tragicznych bohaterów. Chcąc natchnąć ten nowy rodzaj prawdziwą, ożywczą świeżością, należało odnieść się do źródeł poezyi, do pierwotnych poezyi rass romańskich i germańskich, do poetycznych utworów Greków i Rzymian, jakimi były rzeczywiście, a nie w tragedyach i poematach koryfeuszów literatury zachodniej.

Ten zwrot do pierwotnych źródeł pomyślne wydał rezultaty; znajomość poezyi ludowej, natchnęła utwory literackie większą naturalnością, a zgłębianie poezyi greckiej wyrobiło formy prawdziwie artystyczne, w całem słowa tego znaczeniu, a nie jak pojmowali je dotąd poeci dworacy.

Żukowski i Batiuszkow pierwsi wprowadzili te pożądane zmiany w piśmiennictwie rossyjskiem.

Dawszy ten ogólny zarys piśmiennictwa owej epoki, powiemy słówko o każdym po szczególe znakomitszym pisarzu.

Karamzin.

Już od pewnego czasu mieszczańskie tragedye i komedye nacechowane były jakąś płaczliwą sentymentalnością, Karamzin zatem rozszerzył tylko jej zakres, wprowadzając ją jeszcze do romansów, historyi i wszelkich płodów literackich.

Karamzin urodził się w roku 1766. Był synem właściciela ziemskiego z gubernii symbirskiej; nauki pobierał w instytucie szlacheckim w Moskwie; słuchał prelekcyi Schwartz'a, przyjmował udział w pracach stowarzyszenia założonego przez Nowikowa i tłomaczył sentymentalne nowelle do dziennika p. t. *Czytania dla dzieci.* Następnie udał się w podróż i zwiedził Niemcy, Szwajcaryę, Francyę i Anglię, zkąd pisywał *Listy rossyjskiego podróżnika.* Powróciwszy do kraju, tłomaczył znów czułostkowe romanse i zakładał dzienniki, a przy końcu życia zarzucił lżejsze prace i zajął się wyłącznie napisaniem historyi swego kraju którą wydał p. t. *Historya państwa rossyjskiego.*

Umarł w roku 1826, w 60 roku życia.

Wszystkie prace literackie Karamzina napiętnowane są nieco ckliwym sentymentalizmem. Szałowy i entuzyasta, unosi się nad życiem pasterskiem i uważa wieśniaków za najszczęśliwsze istoty; od pisarzy i autorów wymaga przedewszystkiem aby mieli dobre i nieskażone serca, przedstawiali rozkosze życia rodzinnego jako najsłodsze i najtrwalsze na ziemi, i daje pierwszeństwo tym naukom które uszlachetniają serce i uczą miłości bliźniego. W swojej *Historyi* stara się przedewszystkiem wykazać stosunki zachodzące między rządem a poddanymi. Z pomiędzy utworów jego najwięcej przyczyniły się do rozbudzenia sentymentalizmu w ogóle czytelników: *Listy rossyjskiego podróżnika, Biedna Liza,* i *Natalja, córka bojara.* Dzieła te były chciwie rozchwytywane i całych ustępów uczono się na pamięć.

Jako literat, historyk i reformator stylu, Karamzin wielką odegrał rolę w rozwoju cywilizacyi rossyjskiej. Zanim przystąpił do napisania swojej historyi, pisał oderwane artykuły historyczne; gdy cesarz Aleksander zaszczycił go tytułem historyka, porzucił służbę i po kilkoletniej pracy w bibliotece, w archiwach i w swoim gabinecie, ogłosił drukiem 12 tomów swojej *Historyi państwa rossyjskiego,* którą doprowadził aż do bezkrólewia. Dzieło to zostało nader łaskawie przyjęte tak przez Cesarza jak i przez publiczność, autora zaszczycano bardzo pochlebnem uznaniem, do jakiego dawały mu prawo niezaprzeczone zalety dzieła, piękny styl i nader szacowne przypiski, domieszczone w każdym tomie.

(d. c. n).

SŁÓWKO
O TEGOCZESNÉJ POEZYI WŁOSKIÉJ

PRZEZ

Joannę Belejowską.

II.

Poeci włoscy od czasu niepodległości półwyspu.

(Ciąg dalszy.)

„Straszny i wspaniały zarazem potwór szaleje wściekłością, na oceanie czy na lądzie, on walczy z przestrzenią, zionąc z ust swoich płomień jak z wulkanu. Przelata nad górami, pochłania równiny, w szalonym swym biegu dotyka powierzchni otchłani,

i przebywając tajemnicze drogi, kryje się w nieznanych otchłaniach

„I znowu z nich wybiega, i nieposkromiony biega od brzegu do brzegu, wydając ryk tak straszny jak głos uraganu; a oddech jego jest tak palący jak gorąca para...

„Tak to, o ludy! ukazuje się *Szatan—Wielki* i jak dobroczynny władca, przelata z miasta do miasta, na swym ognistym wozie."

Opisawszy tak wymownie dobrodziejstwa przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, tego Szatana nowego rodzaju, w końcu ducha postępu przekształca w ducha przewrotu i woła:

„Chylcie czoła przed szatanem, przewrotem i buntem, przed siłą zemsty ludowej."

Inne zupełnie uczucia budzą w czytelniku poemata Giacoma Zanelli, szlachetnego weneckiego, Kapłana. Rozumie on, pojmuje doskonale ducha i dążności swego czasu, podziela je w pewnej mierze, a jest zarazem wiernym synem Kościoła i dobrym obywatelem wolnego kraju.

Wydany zbiór jego poezyi rozpoczyna poemat na cześć Galileusza. Już początek jest wspaniały i poważny, a prześliczna rozmowa nieśmiertelnego astronoma z przyszłym śpiewakiem *Raju utraconego*, godną jest przepysznego krajobrazu który jej służy za ramy. Wszystkie osobistości chwytają za serce, a pełna prostoty, cicha i rzewna postać siostry Maryi Celesty, współzawodniczki Antygony więcej jeszcze zajmującym czyni ten mały poemat dramatyczny.

Obaj rozmawiający pozostają ciągle wierni duchowi swej roli. Młodziutki Milton pała ogniem czyli raczej zapałem właściwym swemu wiekowi, dusza jego oburza się na widok prześladowania tak wielkiego geniuszu, upadającego, nie pod ciężarem lat, ale pod brzemieniem boleści. Słowa płynące z ust jego jak potok rozpalonej lawy, zyskały jednogłośny poklask wszystkich krytyków włoskich, którzy tak surowy sąd wydali o długich ustępach wypowiadanych przez Galileusza. Nam się zdaje przeciwnie, że poeta z wielką prawdą uchwycił i oddał prawdziwy charakter Galieusza; krytycy zapominają, że wielki astronom był zarazem gorliwym katolikiem, i nie chcą czy nie umieją pojąć, że choć ulegając oburzeniu uczonego, wyrzekł owo sławne„ eppur si muove"... przecież męczennik nauki mógł być zarazem męczennikiem zaniepokojonego sumienia.

Po przebyciu kanału Suezkiego, ksiądz Lanella uczcił jego twórcę prześlicznym wierszem, godnym ody Prati'ego napisanej do p. de Lesseps, kiedy olbrzymie to dzieło jego było jeszcze tylko wspaniałym projektem. Wielka i piękna jest przewodnia myśl tego poematu. Poeta cofa się do początków cywilizacyi: przedstawia pokolenia pochodzące z jednej rassy, błądzące w najodmienniejszych kierunkach. Jedne przebywają puszcze europejskie, i ceną niezmordowanej pracy, dobijają się bogactwa i pomyślności, gdy inne, szczęśliwsze na pozór, osiedlają się prawie u stóp gór rodzinnych, w rozkosznych okolicach, gdzie człowiek zniewieściały skutkiem klimatu i spragniony spoczynku, znikczemniał wśród poniżającego próżniactwa. Autor bardzo żywym kolorytem odmalował sprzeczność zachodzącą między dwoma temi położeniami, lecz wznioślejszym jeszcze jest ustęp w którym opisując następstwa mające wyniknąć z wielkiego dzieła dokonanego przez pana de Lesseps, przepowiada w bliskiej przyszłości zmartwychwstanie Wenecyi, której Adryatyk zwróci ślubny pierścień zatoniony w jego falach,—przekształcenie wybrzeży morza Śródziemnego, odrodzenie Wschodu i bratni uścisk dwóch światów:

„Przybywaj, wielki ludu! przynieś surowemu Zachodowi, niewyczerpane skarby Gangesu o złoconych falach, i pobudź natchnienie naszych poetów, wtajemniczając ich w pienia wieszczów twoich.

„Uzbrojeni węgielnicą i kompasem wylądujemy na twe szczęśliwe brzegi, i mszcząc znieważenie prawdy, potrafimy skruszyć kajdany ostatnich twoich niewolników— i błądząc pod cienistemi twemi palmami i wonnemi amomami, nauczymy odwieczne lasy twoje, wymawiać nazwiska Humboldt'a i Volty".

Mniej znane i głośne, ale równie piękne i natchnione współczesnemi pojęciami i poczuciem religijnem, są poemata: *Scienza e natura* (Nauka i przyroda)— *l'Industria* (Przemysł) i *Il Lavoro* (Praca).

W poemacie *l'Industria* Autor przenosi czytelnika w pośród cudy przemysłu, roztaczający się w Paryżu na polu Marsowem, w 1867 roku i przedstawia swego pomysłu„ historyę pracy" która niewątpliwie nie mogłaby współzawodniczyć z uczonemi sprawozdaniami komisarzy wystawy powszechnej.

Przedstawia on człowieka od samej kolebki, gdy jeszcze był *fragile si ma pensante* i tak przeprowadza go przez wszystkie starożytne cywilizacye wskazuje przechodem.

„Nędzną lepiankę ubogiego cieśli."

z której wyjść miało wyzwolenie i odkupienie świata, i następnie oddawszy hołd wielkim średniowiecznym pracownikom, pochwaliwszy kilku słowy szlachetne florenckie stowarzyszenie rzemiosł, wprowadza czytelnika do wnętrza olbrzymich tegoczesnych zakładów, i ukazuje człowieka

„jako spokojnego pana wszech—rzeczy:"

i dalej zwraca się do Aleksandra Rossi, jednego z znajznakomitszych członków sądu między narodowego, wołając:

„Widziałeś, Aleksandrze, jak przemysł i sztuki zebrały się w braterskiem kole, jakby na tryumfalną schadzkę na brzegach Sekwany; gdzie umysł ludzki roztoczył świetne okazy swych zdobyczy.

„Widziałeś świat cały przesuwający się przed tobą w zakreślonej przestrzeni; widziałeś jak pod wspaniałemi łukami pyszniącemi się tem że dają przytułek tysiącznym trofeom wszelkich klimatów, stawali, zdjęci uwielbieniem, i najpotężniejsi monarchowie i najkorniejsi ich poddani....„

W poemacie pod tytułem *il Lavoro* poeta wprawia że tak powiem w ruch, wszystkie siły których owoce, nagromadzone ukazał nam przed chwilą, i ukazuje jak człowiek przemysłowy świat cały objął w posiadanie. I patrzymy jak morza pokrywają się okrętami, niedostępne lasy ustępują miejsca gwarnym miastom, starożytne dziewicze ziemie przekształcają się pod wpływem motyki i pługa, którym para przychodzi w pomoc, a na zakończenie kapłan i poeta daje nam jeden z tych malowniczych i rzewnych obrazów, które tak mistrzowsko oddawać umie, opis emigracyi Irlandczyków. Tylko tegoczesna cywilizacya, poparta, olbrzymim rozwojem przemysłu i marynarki, mogła podać myśl tych emigracyi całym massom ludności, a Zanella umiał doskonale zużytkować wszelkie poetyczne i humanitarne strony, jakie przedstawia tak bogaty przedmiot.

d. c. n.

Przegląd teatralny.

Sfinks, dramat Oktawjusza Feuilleta w 4-ch aktach z francuzkiego.

Byłoby doprawdy zadziwiającem, gdybyśmy w sztuce p. Fenilleta spotkali inny temat, niż wiarołomstwo małżeńskie. Niepodobna nawet wymagać takiej niespodzianki od żadnego francuzkiego dramaturga a tem mniej od autora „Kryzysu" (la Crise) i „Hrabinki" (la petite Camtesse). P. Feuillet wystudyował do głębi dzieje tego dramatu zna jego stronę psycholigiczną, fizyologiczną i etyczną. Uchylając raz jeszcze zasłonę pokrywającą ten chorobliwy objaw społeczny, utalentowany akademik uczuł, że potrzeba mu czegoś nowego, niesłychanego, tajemniczego— że widzów nie wzruszą już i nie przerażą zwykłe motywa upadku kobiety, że należy powołać do życia jaką istotę zagadkową, anormalną, zmienną jak kameleon, nie ujętą jak marzenie.

Czy Blanka de Chelle, bohaterka najnowszego dramatu Fenilleta, jest w istocie Sfinksem nowożytnym, przedstawiającym się światu, jako nierozwiązalna zagadka psychiczna?

Posłuchajmy, co o niej mówi sam autor przez usta swych postaci. Lord Astley jeden z najwytrwalszych wielbicieli Blanki, tak się o niej wyraża: jestto jedna z tych kobiet będących wytworem naszej cywilizacyi, które rodzą się, że tak powiem dojrzałe, które skutkiem spaczonego wychowania może są przeżyte za nim żyć zaczęły, i dla których owoc zakazany traci smak, zanim go jeszcze pokosztować zdołały. Ażeby skłonić kobiety takie do zapomnienia, nie o zasadach, gdyż tych nie mają, ale o dumie i względach towarzyskich, nie wystarcza miłość salonowa w najwykwintniejszej nawet formie; potrzeba im czegoś niezwykłego, bohaterskiego lub zbrodniczego, perspektywy wielkich poświęceń, lub wielkich zdrad.

Inaczej sądzi Blankę Henryk de Savigny. To typ niegodziwy—mówi do żony—to jedna z tych wietrznic salonu, dla których jedynym celem życia jest rozkosz najbardziej wyuzdana i wstrętna."

Sama wreszcie pani de Chelles, tak się określa: „Jestem, jak większa część kobiet, dziełem mego męża. Jeżeli dotąd nie upadłam, to dla tego tylko, że noszę w piersi serce zbyt dumne, aby mogło się zniżyć do tych wielbicieli pospolitych, którzy mnie otaczają. Bawię się nimi, to prawda. Trudno uwierzyć, jak nizko spaść mogą ci mężczyzni tak dumni, tak pogardliwi dla nas, na jeden nasz uśmiech, jedno spojrzenie... ich honor, wierność, przyjaźń, przysięga to bańki mydlane. Dmuchnąć tylko i nic się nie pozostanie... to bardzo zabawne."

Wszystkie te określenia brane nawet na seryo nie nadawałyby jeszcze pani do Chelles prawa do obierania Sfinksa za godło, a tem razem do szczególnego interesu widzów. Znamionowałyby raczej kobietę nerwową i kapryśną znudzoną aż do przesytu, szukającą za jaką bądź cenę silnych wrażeń, rozrywek, szałów dla zapełnienia pustego życia.

Postać to autorowi „Dalili" aż nadto znana. Nie inną była Eleonora Falconieri pociągająca artystkę Korweina na bezdrożu zdrady i rozpaczy. Ale tamta konsekwentną była i nie zdołała wmówić w nikogo, że nosi w sercu: „uczucie wzniosłe i głębokie, jedną z tych namiętności, któremi kobieta żyje i dla których gotową jest umrzeć."

Rzecz dziwna, Blanka do Chelles ma przyjaciółkę. Jest nią dobra, serdeczna, kochająca Berta de Savigny. Wychowały się razem, żyły jak dwie siostry. Berta widzi błędy swej przyjaciółki, ale usprawiedliwia je wpływami wychowania i otoczenia, wreszcie zachciankami zbyt bujnej wyobraźni. Zamiast czerpać w słodkiem uczuciu przyjaźni siłę moralnego odrodzenia. Blanka knuje najhaniebniejszą zdradę. Pożądliwe oczy zalotnicy padły na męża Berty Henryka do Savigny, który okazywał jej zawsze jawne lekceważenie, wstręt, pogardę. Może pierwotnie zamiarem Blanki było upokorzyć tylko tego surowego moralistę, ugiąć go do stóp swoich i powrócić zawstydzonego na łono obowiązku, ale okoliczności sprawiły, że się stało inaczej.

Savigny rzeczywiście zbyt łatwo daje się złowić w sieci, co nie przynosi wcale zaszczytu jego charak-

kterowi i..... i frazeologii. Kilka gorętszych słów Blanki, kilka jej listów powierzonych poufnie do przeczytania, wystarczają aby go zniepokoić, rozdrażnić i uczynić skłonnym do zdradzenia najlepszej żony. Blanka przewidziała ten efekt i wyśmiewa głośno romantyczne przypuszczenia Savigny'ego aby tem silniej podraźnić jego miłość własną. Daje mu do zrozumienia, że nie on był bohaterem tajemniczych listów i przyrzeka wyjaśnić wszystko, naznaczając rendez-vous na tarasie. Dzieje się to w oczach Berty, która nic nie rozumie ale wszystko przeczuwa; serce jej ściska się boleścią i trwogą tajemną. Savigny w chwili stanowczej spostrzega łzę w oczach żony i rzuca się do jej stóp, aby ją raz jeszcze upewnić „że ją tylko kocha, że dla takich jak ona kobiet mężczyźni poświęcają najlepsze cząstki swego ducha, miłość trwałą i cześć głęboką."

Zapewnienie to nie musi być przyjemnem Blance, która je słyszy ukryta za portyerą drzwi wchodowych. Na myśl że jej się nie udało nabawić ją wściekłością, w pierwszej chwili uniesienia wybucha gniewem przeciwko Bercie za to, że poważyła się być zazdrosną i postanawia przekonać ją, jak dalece się myliła. Ukrywa Bertę znów za portyerą, przywołuje jednego ze swych wielbicieli lorda Astley i pozwala mu się wykraść jeszcze tej nocy. Napróżno Berta błaga ją ze łzami, postanowienie jej jest nie zachwiane. Zostawszy samą Blanka rzuca się na sofę z płaczem konwulsyjnem, wołając: „żegnaj mi....żegnaj.... wszystko co ukochałam."

Zasłona spada a widzowie pytają się zdumieni, co mianowicie mogła ukochać pani Blanka de Chelles.

Akt trzeci odbywa się w parku, własności Savignych. Dekoracya ukazuje pejzaż przepyszny. Światło księżycowe ślizga się po skałach otaczających ciemne, tajemnicze jezioro. Na przodzie sceny dwie kępy drzew, w głębi mostek rzucony na skale. Savigny z żoną i lordem Astley powraca do domu z balu u pani de Chelles. Lord żegna uprzejmie małżonków i spieszy na miejsce spotkania, a Berta teraz dopiero zawiadamia Henryka o fatalnym zamiarze Blanki, błagając go, aby temu przeszkodził. Savigny po raz drugi czuje się dotkniętym w miłości własnej, waha się, nie wie co czynić, Berta prosi usilnie aby ratował jej przyjaciółkę od hańby, skłania go aby powrócił do pani de Chelles, on, który zawsze miał wpływ nad nią i pozostawia go samego w parku.

Czy Blanka przewidziała, że Berta wyjawi wszystko mężowi, czy odczuła wstrząśnienia, jakie taka wiadomość zrodzi w słabej duszy Savigny'ego jest to bardzo prawdopodobnem, skoro nawet drogę na miejsce schadzki z Astleyem obrała sobie przez ten park, jakby w nadziei, że tam Henryka spotkać może. Oboje spotykają się istotnie i tu, śród tej ciszy księżycowej, u stóp skał nad jeziorem z ust ich wyrywają się najprzód groźby, potem wyznania miłosne. Nagle szmer jakiś płoszy występną parę, Blanka kryje się w zaroślach, na mostku ukazuje się Berta. Savigny spuszcza ze wstydem oczy przed żoną. „Słyszałaś?" — zapytuje ponuro. „Nie....nie....byłam już blizko domu, usłyszałam jakieś krzyki..... zdawało mi się, że lord Astley..... przybiegłam!" „To była ona" mówi Savigny, „I cóż?.." „Skłoniłem ją, aby została". „Ha! Bogu dzięki" szepcze Berta i pada zemdlona pod natłokiem wrażeń.

Akt czwarty szybko zbliża sytuacyę ku rozwiązaniu. Berta słyszała wszystko i posiada jeszcze w ręku jawne dowody niewierności męża, listy Blanki znalezione przypadkiem. Odczytuje te listy w ciągu długich godzin samotnych, upaja się własną boleścią, ale milczy i znosi z rezygnacyą ciężki cios przeznaczenia. Ma nadzieję w przyszłości, wierzy, że mąż powróci do niej, „gdyż tę namiętności gwałtowne są, ale przelotne jak uderzenie piorunu." Savigny tymczasem odkrywa brak listów, ostrzega kochankę i żąda aby wybadała Bertę. Następuje scena kończąca dramat, scena rzeczywiście pełna dramatycznego efektu tryskającego ze starcia się dwóch namiętności, szlachetnej i występnej. Berta wybucha zgrozą i oburzeniem, złorzeczy, grozi wyjawieniem wszystkiego teściowi Blanki, Doprowadzona do ostateczności pani de Chelles wypija truciznę, którą nosi w pierścieniu i umiera błagając o przebaczenie.

Dramat ten pozostawia widza w dziwnem uczuciu rozdrażnienia i niesmaku. Napróżno zapytujemy się w duchu, po co autor wywołał ten wstrętny obraz cynizmu i zepsucia, ten wykwintny pozornie a niecny w gruncie proces wzajemnego oszukiwania się, istne męty zgangrenowanego, rozkładającego się i upadającego społeczeństwa. Jaką ideę moralną chciał zawrzeć w swym utworze jakie wrażenia podnioślejsze, wyższe obudzić w duszy widza?

Nie znajdując odpowiedzi na te pytania, każdy uznać musi że „Sfinks" jest dziełem chybionem, że bohaterka jego nic zagadkowego w naturze swej nie przedstawia, ale przeciwnie jest aż nadto jasną i ani życiem swem interesu lub szacunku, ani śmiercią współczucia nie budzi, że autorowi zabrakło siły tragicznej w tworzeniu, że nie umiał wznieść się po nad zwykły poziom ziemskich miłostek i przedstawił galeryę postaci pospolicie niecnych, śród których jedna tylko Berta okupuje nieszczęściem i troską całego życia tę odrobinę prawości i zacności, jaką jej pan Feuillet zachować pozwolił.

Sąd taki znajduje wybitne poparcie w zewnętrznej budowie utworu. Wszędzie znać robotę, naciąganie, gorączkowe poszukiwania sztucznych efektów. Ta intryga, której węzeł bez ustanku zrywa się i zawiązuje na nowo, figury drugorzędne, wałęsające się po scenie bez potrzeby, te sceny ciągłego podsłuchiwania się, ten dekoracyjny przybór trzeciego aktu z księżycem i skałami, to niczem nie uzasadnione zażycie trucizny na końcu—to tyleż zużyłych środków pokrycia wewnętrznej próżni dramatu. Na korzyść autora nie przemawia nawet dyalog, w innych jego utworach tak wykwintny i misterny, tutaj po większej części suchy i bezbarwny.

W obec tylu warunków..... niepowodzenia, trudno się nawet dziwić, że reżyserya tutejsza postanowiła przyswoić Sfinksa naszej scenie.

Potrzeba było prawdziwie znakomitej gry dwóch artystek, aby zajęcie widzów w jakiem takiem utrzymać natężeniu. Pani Modrzejewska całym zasobem swego talentu usiłowała z Blanki de Chelles zrobić postać dramatyczną. Łzy jej były prawdziwe, namiętność dzika i gwałtowna, rozpacz skoncentrowana i przerażająca, spokój nawet pełen wstrząśnień nerwowych. Ale te wszystkie skarby talentu, któremi artystka tak dzielnie włada, nie zdołały pokryć sytuacyi z gruntu fałszywych, usprawiedliwić rzeczy, których zwykła logika ludzka nie usprawiedliwia. Zarzucić moglibyśmy pani Modrzejewskiej jedynie, że początkowe sceny dramatu zanadto traktowała à la Frou-frou, czyniąc podobną Blankę Chelles, wytrawną i świadomą siebie kokietkę salonu, do Gabryeli, źle wychowanej i lekkomyślnej dziewczyny wiejskiej.

Rola Berty odkryła nam w pannie Popiel nieznaną dotąd skalę talentu. Powaga, dramatyczność umiejętnie stopniowana, uczucie świeże i gorące ożywiało sympatyczną postać zdradzonej żony. Chwilami tylko wzruszenie tłumiło głos artystce, nieprzywykłej do uwydatniania silniejszych uczuć i wrażeń.

Pan Leszczyński w roli Savigny'ego miał bardzo piękne sceny, w których widniała właściwa temu artyście naturalność, energia i prostota męzkiego serdecznego uczucia. Wszystkie te zalety, najwybitniej zarysowały się w scenie z żoną, kiedy Savigny spostrzegłszy łzę w jej oku, cofa się od przyrzeczonej schadzki. Akt trzeci jednakże stanowił w grze pana Leszczyńskiego przełom niezbyt szczęśliwy. Artysta nie utrzymał się w tonie i rzucił postać Savignego na bezdroża Szekspirowskich namiętności, z któremi tej naturze słabej i chwiejnej wcale nie było do twarzy.

Z innych grających w Sfinksie artystów wyszczególnić potrzeba p. Zarembę, który suchą i bezbarwną rolę admirała umiał natchnąć życiem i odegrać z godnością — oraz p. Grubińskiego, który wdzięczną rolkę Ulryka potrafił sprowadzić do ostatnich granic karykatury.

Kazimierz Łuniewski

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu X. X. w Mir... Nie mając dokładnego adresu, żądanej odpowiedzi dać nie możemy.

OGŁOSZENIE.

Magazyn Strojów i Sukien Damskich

ANTONINY ŁAPIŃSKIEJ.

Ulica Senatorska wprost Miodowej, 1-e piętro.

Zaopatrzony został w znaczny zapas **Kapeluszy** podług najświeższych modeli paryzkich, po cenach bardzo umiarkowanych; — podejmuje się także roboty: **Sukien, Okryć i Salop**, tak ze swego jak i z powierzonego materyału.

Wszelkie obstalunki ze wsi, za przysłaniem miary przyjmuje, a suknie balowe z garnirunkiem i kwiatami od rs. 15 dostarcza.

Przyjaciela Dzieci Nr 43 wyszedł z druku i zawiera:

Zakład Pneumato-Leczniczy. — Kropelka wody, przez Ludwika Niemojowskiego.— Za domem napisała Jadwiga Chrząszczewska. (c d.)— Niedźwiedzie (z drzeworytem) Trzecia podróż Kazi z Wilna do Bobrójska przez Bronisławę, (c. d.)— Odpowiedzi od Redakcyi. — Szarada.— Zadanie Arytmetyczne.— Objaśnienie zadania gramatycznego w Nr. 40 zamieszczonego.— w Dodatku: Z pierwszej podróży Maryni i Janka. — Dziki człowiek. przez Ludwika Niemojowskiego. — Trajkotanie. — Nowe ubranie.

Prenumerata kwartalnie wynosi:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz Cennik z magazynu pana Penkali.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Opis do N. 43.

N. 1. Ubranie panny młodej.

Na gładkiej sukni fularowej albo *Faille*, z wyciętym stanikiem i krótkiemi rękawkami, zwierzchnia suknia z bardzo cienkiego i klarownego muślinu albo tiulu, ozdobiona jest tylko szerokim obrębem i kilkunastu wązkiemi zakładkami. Bluzka pod szyję, cała naszyta w podłużne zakładki; takiemiż zakładkami ozdobione rękawy przy zwierzchniem zeszyciu u dołu i na falbanie. Pasek i szarfy z boku ze wstążki *Faille*; oprócz długiego trenu, tylne bryty podpięte są w suty puf. Kreza pod szyją w miejsce broszy zapięta gałązką mirtową; na głowie wieniec mirtowy i długi welon z iluzyi nie obrębianej. Takie ubranie odznacza się niezmierną prostotą i elegancyją.

N. 2. Ubranie strojne salonowe.

Szeroki, skośny wolant, u góry zakończony nagłówkiem u dołu riuszą ułożoną w kontrafałdy i dwa razy przeszytą, naszyty jest w koło sukni; długa, z przodu otwierana tunika, łatwo podług wzoru i opisu może bydź przykrojona W N. 44 na ryc. 9 podamy rysunek tej sukni z tyłu, dla uwydatnienia układu tuniki, podpięcia i przystrojenia sukni. Tunika składa się z dwóch części, które krają się prosto i są 104 cent. długie a 60 cent. szerokie, w górze podcinają się skośno i przyszywają z przodu gładko w ten sposób, ażeby od góry schodziły się na 27 cent. pod ubraniem z kokard, dalej zaś roztwierały skośnie do dołu. Od tyłu zakłada się w górze dwie podług figury dopasowane fałdy, z boków zaś trzy poprzeczne, głębokie fałdy, które przeszywa się razem z pufem spódnicy, ażeby tylko 53 cent. tuniki, były wolno puszczone z boków. Szerokie szarfy, z tej co suknia materyi, łączą tunikę pod pufem. Brzegi tuniki, baskiny i szarf oszyte są podwójną wypustką; stanik i rękawy ubrane są czterema pliskami, zakończonemi plisowaniem. Kokardy na staniku i z przodu na spódnicy, przepinane dżetowemi sprzączkami, mogą być z wstążki rypsowej, albo z aksamitu tego koloru co suknia.

N. 3—5. Pas wyszywany i próbki roboty siatkowej na pokrycie lampy, które podamy w N. 44.

N. 6. Magiczny kałamarz przyozdobiony haftem kolorowym, próbki deseni załączone będą w N. 44.

Rycina 6 przedstawia kałamarz z nowo wynalezionym atramentem chemicznym który wystarczyć może na lat 10, jeżeli codzień pisać będziemy po stron 10. Przy kupnie kałamarza dodany bywa przepis, w jaki sposób dolewać trzeba tylko wody.

Chcąc zamienić kałamarz w sprzęt ozdobny, trzeba umieścić go na haftowanej podkładce i pokryć z boków pasem, wyszywanym kolorowemi kordonkami na suknie. W N. 44 Tygodnika podamy pas z sukna szafirowego, naszyty dwoma rzędami jasnej przerabianej wstążki, i wyszyty ściegiem łańcuszkowym, kordonkami w dwóch cieniach, tego samego co sukno koloru. Środek pasa jest z sukna białego a brzegi w dwóch cieniach, brązowych. Wyszycie odrobione być powinno kordonkiem białym, zielonym i brązowym, a prążki z brzegów sznureczkiem złotym i kordonkiem zielonym. Patarafka powinna bydź z takiego samego koloru sukna, z białem obłożeniem, wyszytem pojedynczemi listkami.

N. 7—8. Szlak do chustki od nosa. Wywodzenie na tiulu z naszyciem torsadki robionej na widełkach i z kratkami koronkowemi.

Materyjał: Kwadrat prawdziwego brukselskiego tiulu, miary 36 cent.; kwadrat cienkiego batystu 18 cent., bawełna do haftu N 100, albo równe cienkie nici płaskie; najcieńsze nici koronkowe i bawełna szydełkowa N. 120.

Deseń odrysować trzeba na zielonym glansownym papierze, pod który podkłada się cienką ceratę, na tem naszyć prosto i równo tiul; z bawełny kręconej N. 120 robi się na śpilce podwójnej torsadkę i naszywa nią wszystkie kontury arabesek. Sposób naszywania wskazany jest na powiększonej próbce N. 8. Przy podwójnem odznaczeniu medaljonu i przy zaczynaniu figur szlaku, końce torsadki powinny być starannie i mocno zeszyte. Łańcuszek z dziurek pomiędzy rzędami torsadki, wywodzi się cienką bawełną nie kręconą, albo nićmi płaskiemi, a dziurki przekłute obwodzi się cienkiemi nićmi koronkowemi. Kontury listków i kwiatów wywodzi się także nićmi płaskiemi i ceruje nićmi koronkowemi wprost i na krzyż dla zachowania odcieniu; kratki odrabia się najcieńszemi nićmi koronkowemi, zmieniając rodzaje ściegów w każdym rogu. Środek batystowy przyrabia się ząbkami dzierganemi, a następnie tiul wycina od spodu; brzeg chusteczki oszyty jest fabrycznemi pikotami, które najlepiej przydziergać do tiulu. Ryc. 7 przedstawia ¼ część szlaku w naturalnej wielkości.

N. 9. Krawatka oszyta plisowaniem.

Model odrobiony z jedwabnej krepy lila, miał 86 cent. długości a 11 szerokości, końce śpiczasto ścięte oszyte były wstawką z koronki 2½ cent. szeroką, i szlaczkiem 1 cent. szerokim. Za wstawką szedł pasek krepy 2½ cent. szeroki przykryty plisowaniem z krepledy, poniżej druga wstawka zakończona plisowaniem 3 cent szerokiem Walansienkę zastąpić można tiulem wywodzonym.

N. 10. Krawatka szalikowa obrobiona frendzlą.

Każda miękka jedwabna materyja, służyć może na taki szalik, skośnie ukrojony i obrębiony w koło. Model mający 92 cent. długości, a 12 szerokości, jest z blado różowej materyi w centki ciemno różowe. Krawatkę składa się we dwoje, a brzeg zwierzchni i skośno ścięte końce, zdobi frendzla z dwóch cieni krepowanego jedwabiu, od razu przyrabiana do krawatki.

N. 11. Ekranik przed piec. Aplikacyja z kretonu i haft.

Kunsztownie z drzewa, snycerską robotą wykonany postument, może być pozłacany, na czarno polityrowany, albo lakierowany brązowo. Obrazek rodzajowy w gładkie ramy oprawny, ma tło z czarnego atłasu, na którem bardzo dobrze odbija aplikacyja obrazka i wieńców, z kretonu w cieniach popielatych, dopełniona arabeskami z popielatego jedwabnego sutaszu, między któremi wyszyta kratka i supełki nitką złotą, oraz gałązkami i listeczkami odrobionemi ściegiem cierniowym, kordonkami zielonawo popielatemi do cieniu. Rama przysznurowana jest do postumentu, sznurem grubym jedwabnym, zakończonym kwastami.

N. 12—13. Próbki ściegów na pantofle, ławeczki pod nogi i t. p.

Próbkę N. 12 odrobić można włóczką angielską w kolorze zielonym, pąsowym i czarnym, kordonkiem pąsowym i filozelą żółtą. Kwadraty z 9-ciu zwykłych krzyżyków robi się włóczką pąsową i wyszywa z wierzchu kordonkiem; małe kwadraty wyszywa się ściegiem długim kordonkiem pąsowym, a obwodzi filozelą żółtą; tło zapełnia się kolorem zielonym.

Na próbce N. 13, kwadraty złożone z 8-miu długich krzyżyków, robione są włóczką angielską, na przemian kolorem pąsowym, zielonym, niebieskim i popielatym; ściegi poprzeczne dają się włóczką czarną a krzyżyki na wierzchu wyszywają filozelą żółtą.

N. 14. Deseń w pasy do haftu różno kolorowego, na poduszki, wałki pod głowę, serwety i t. p.

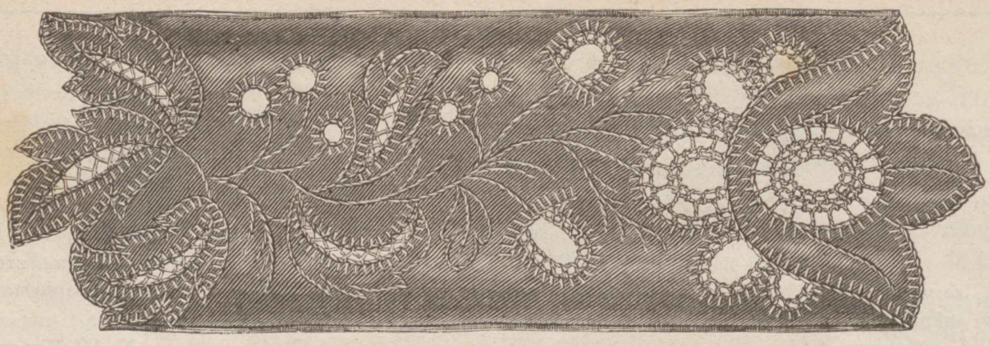
Na modelu pasy sukna pąsowego, czarnego i białego łączone były wązkiemi, jasno szafirowemi paskami, deseń zaś arabeskowy odrobiony był kordonkami w kolorze pąsowym, złotym, jasno szafirowym, białym, czarnym, jasno i ciemno zielonym, ściegiem łańcuszkowym. Kolory zmieniają się odpowiednio do tła, a paski niebieskie wyszyte są samym kolorem białym. Pasy szr kie zakłada się jeden cent. na wązkie i nakleja gumą płynną, a następnie przeszywa prosto łańcuszkiem.



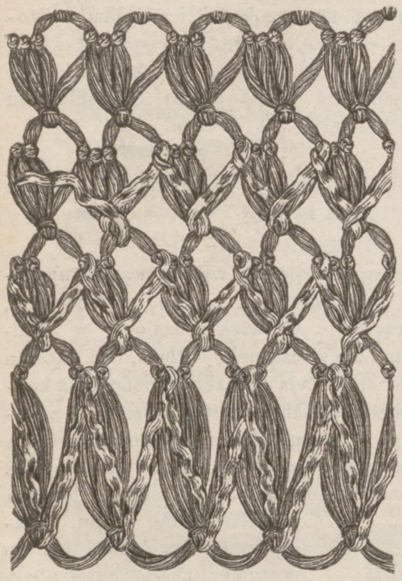
N. 1. Ubranie panny młodej. N. 2. Ubranie wizytowe.

N. 15. Aksamitka na szyję ogarnirowana koronką.

Aksamitka którą oddawna noszono, zawiązaną z tyłu na kokardę z długiemi końcami, obecnie garniruje się u góry sutą fryzką, a u dołu oszywa marszczoną koronką i zdobi dżetowemi lub stalowemi perełkami. Półtora lub dwa metry aksamitki 3 cent. szerokiej, zaszywa się spiczasto na środku; fryzka koło szyi ułożona była z białego i czarnego jedwabnego tiulu $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiego, koronka zaś naszyta perełkami, miała 5—6 cent. szerokości.



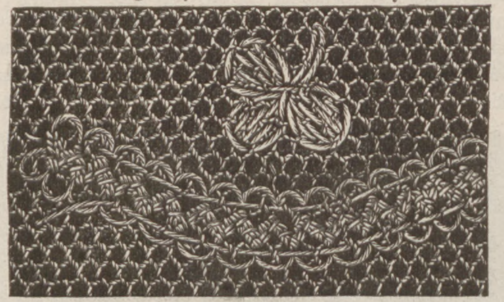
N. 3. Haftowana część przykrycia na lampę. Opis i całość podamy w N. 44.



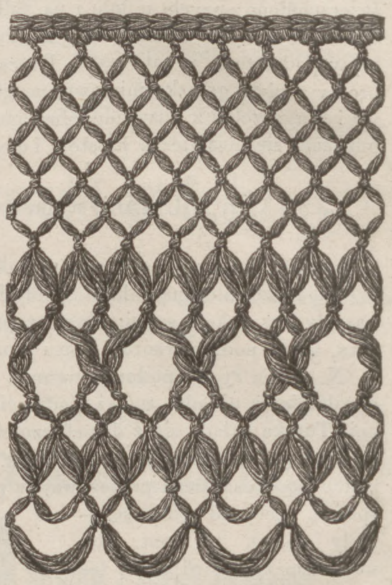
N. 4. Zakończenie brzegów siatki do przykrycia na lampę. Patrz ryc. 3 i 5.



N. 6. Magiczny kałamarz ozdobiony haftem.



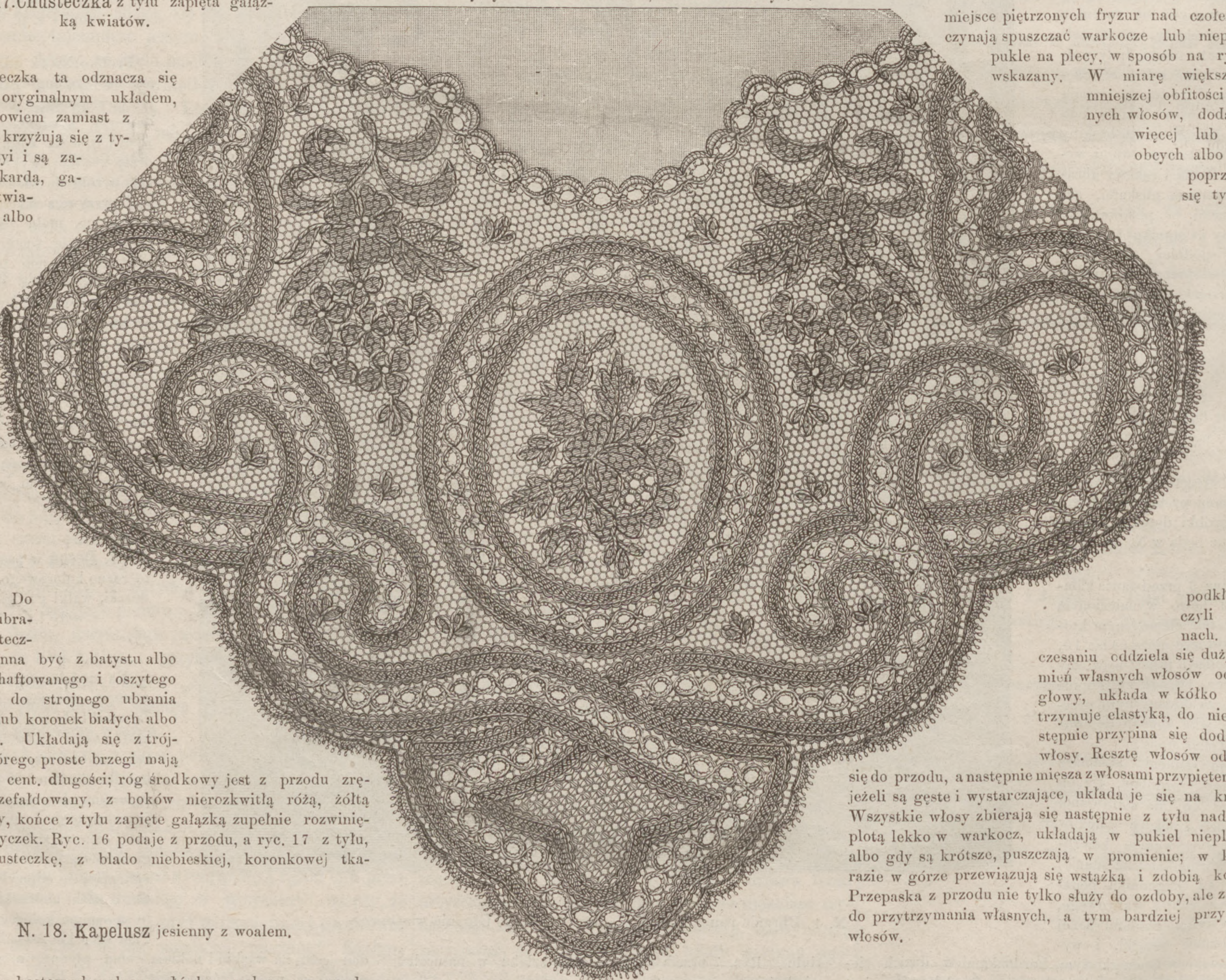
N. 8. Przyszycie torsadki na tiulu, do chusteczki ryc. 7.



N. 5 Koronka siatkowa do przykrycia na lampę. Patrz ryc. 3 i 4.

N. 16—17. Chusteczka z tyłu zapięta gałązką kwiatów.

Chusteczka ta odznacza się nader oryginalnym układem, końce bowiem zamiast z przodu, krzyżują się z tyłu na szyi i są zapięte kokardą, gałązką kwiatów albo broszą. Do rannego ubrania chusteczka powinna być z batystu albo muślinu haftowanego i oszytego koronką, do strojnego ubrania z tiulu lub koronek białych albo czarnych. Układają się z trójkąta, którego proste brzegi mają 50—60 cent. długości; róg środkowy jest z przodu zręcznie przefałdowany, z boków nierozkwitłą różą, żółtą przypięty, końce z tyłu zapięte gałązką zupełnie rozwiniętych różyczek. Ryc. 16 podaje z przodu, a ryc. 17 z tyłu, taką chusteczkę, z blado niebieskiej, koronkowej tkaniny.



N. 7. Koronka do chusteczki wyszywana na tiulu, z dodaniem torsadki robionej na widełkach. Sposób przyszycia torsadki wskazuje ryc. 8.

N. 18. Kapelusz jesienny z woalem.

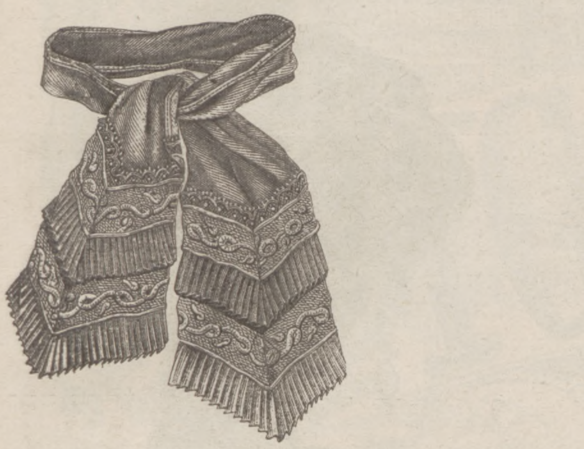
Czarny bastowy kapelusz z główką owalną, ma rondo w górę podwinięte, rypsem pokryte i aksamitem objęte. Długi, lekko i zręcznie owinięty w koło główki woalik, z czarnego jedwabnego tiulu, z boku przepięty jest kokardą ze wstążki i kwiatem, długi zaś koniec służy do okręcenia koło szyi. Rzucik z perełek albo dżet pojedynczo naszyty, dodają tiulowi mieniącego się blasku. Taka forma kapelusza najwięcej jest używana, na tak zwaną przejściową porę z lata do jesieni.

N. 19—21. Ubranie głowy à la Mozart.

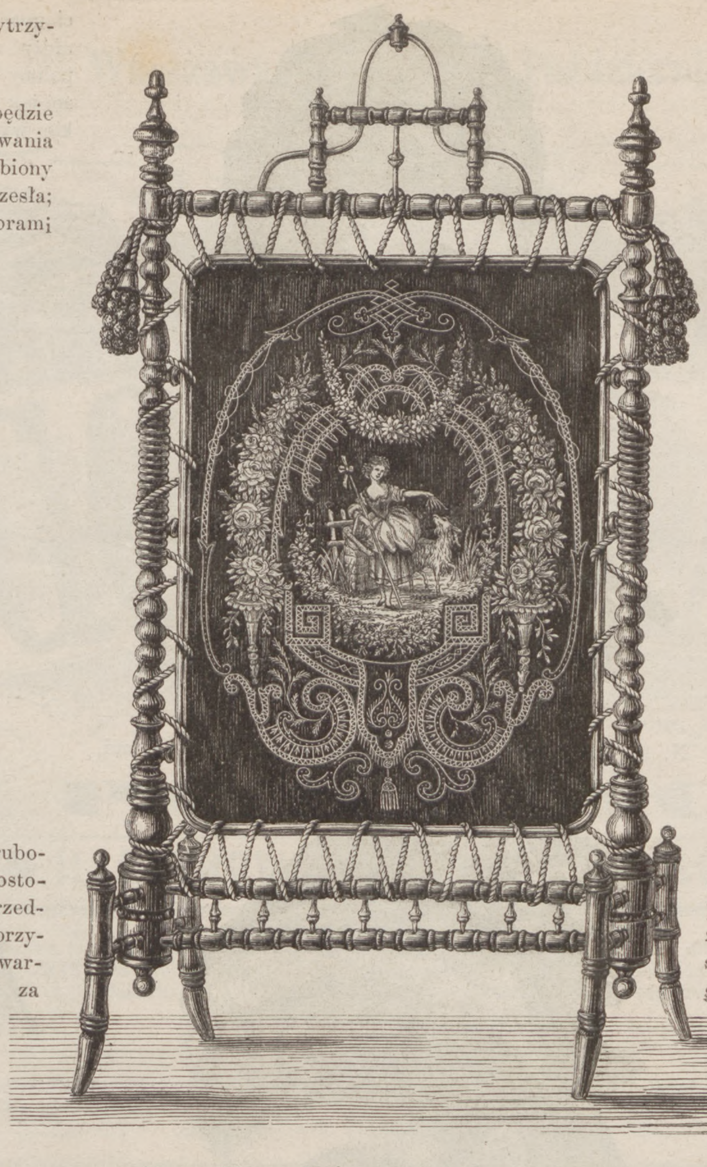
W czesaniu włosów moda przerzuca się z jednej ostateczności w drugą, w miejsce piętrzonych fryzur nad czołem, zaczynają spuszczać warkocze lub nieplecione pukle na plecy, w sposób na ryc. 20 wskazany. W miarę większej lub mniejszej obfitości własnych włosów, dodaje się więcej lub mniej obcych albo nawet poprzestaje się tylko na podkładkach czyli krepinach. Przy czesaniu oddziela się duży promień własnych włosów od tyłu głowy, układa w kółko i przytrzymuje elastyką, do niego następnie przypina się dodatkowe włosy. Resztę włosów odczesuje się do przodu, a następnie miesza z włosami przypiętemi, albo jeżeli są gęste i wystarczające, układa je się na krepinie. Wszystkie włosy zbierają się następnie z tyłu nad szyją, plotą lekko w warkocz, układają w pukiel niepleciony, albo gdy są krótsze, puszczają w promienie; w każdym razie w górze przewiązują się wstążką i zdobią kokardą. Przepaska z przodu nie tylko służy do ozdoby, ale zarazem do przytrzymania własnych, a tym bardziej przypiętych włosów.

N. 22—23. Kamerystka, czyli maszynka do przytrzymywania włosów przy czesaniu koka.

Dla dam które czeszą się same, pożyteczna będzie maszynka nowo wynaleziona, służąca do przytrzymywania szynionów, koków albo loków. Przyrząd ten odrobiony z drzewa, szrubuje się do stołu, szuflady, albo do krzesła; kula znajdująca się u dołu, opatrzona jest kilku otworami



N. 9. Krawatka ozdobiona plisowaniem.



N. 11. Ekram. Haft z podkładaniem kretonu.



N. 10. Szalowa krawatka zakończona frendzlą.

w które płyta przyrządu powinna bydź zakładana i szrubowana w ten sposób, ażeby zawsze znajdowała się w prostopadłym kierunku do mających się czesać włosów. Przednia strona płyty, widoczna na ryc. 23, ma na środku przymocowany haczyk, służący do przytrzymania loków i warkoczy; do lewej strony przybity jest rzemienny pasek, za który w sposób na ryc. 22 wskazany, zakłada się grzebień przytrzymujący obce, w promieniach dodane włosy, które zakładają się w górze do wyciętego w ząb brzegu kamerystki. Strona ta przy czesaniu musi być do spodu odwrócona, a włosy wzięte na przód do osoby czeszącej. Taka kamerystka nie tylko do wyżej wzmiankowanej koafiury Mozarta, ale i do wszelkiego innego układu włosów, służyć może.

Przepisy kuchenne.

Obwarzaneczki.

Śmietanki pół kwarty, łyżkę sporą



N. 12. Wzór tła na pantofle i t. p. Robota na kanwie.

masła razem zagotować na ogniu, sypiąc mąki tyle, żeby było ciasto tęższe jak na kładzione kluski ciągle rozcierać żeby grudki, żadnej nie było. Jak massa uprużona, wystudzić do tego wbić kilka żółtek, skórki pomarańczowej, cukru do gustu; potem wygnieść ciasto z migdałami słodkiemi posiekanemi z cukrem wymięszanemi i robić obwarzaneczki, w piec wolny wsadzić, żeby się bardzo nie zrumieniły tylko wyschły.

Ciastka piankowe.

Do 7 białek funt cukru, trochę wanilii i kra'anych migdałów stosowna ilość.

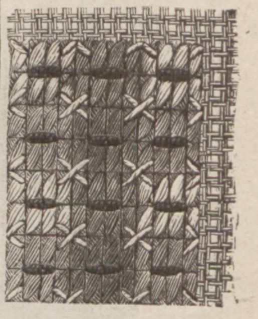
Robi się zaś tak: białka powinny być świeżo i czysto odbite; zlawszy je na jeden koniec półmiska na drugi sypie się cukier niezbyt miałko utłuczony i bije się piana zajmując cukier potrosze dopóty, dopóki się nie zrobi gęsta masa, aby się dobrze trzymała, potem wsypują się migdały i lekko wymięszawszy robią się nożem obwarzaneczki albo łyżeczką placuszki na papierze niczem niesmarowanym i wsadza w bardzo wolny piec na blachach. Powinny być zupełnie białe pieką się zaś tak długo aż będą w środku zupełnie suche. Pianę należy bić w miejscu zupełnie zimnym.



N. 14. Haft w pasy wyszyty kolorowemi jedwabiami, na poduszki, wałki pod głowę i t. p.

Lukier na baby i mazurki.

Funt cukru miałkiego przesianego wysypać na miskę dodać dwa białka czysto odebrane, soku z jednej cytryny parę łyżek wody różanej; to wszystko mięszać łyżką drewnianą przez godzinę w jedną stronę, dopóki nie zgęśnie.



N. 13. Wzór tła na pantofle i t. p. Robota krzyżowa.

Lukier z migdałów na placki.

Pół funta migdałów słodkich oparzonych i utłuczonych zmięszać z funtem cukru także miałko utłuczonym i trzema ubitemi białkami do tego wsypać cztery łyżeczki, od kawy, mąki i sporo cynamonu, to wszystko mięszać w jedną stronę, dopóki się nie zrobi masa brunatna.

Placek Bakalijowy.

Funt masła, tyleż mąki i cukru. Masło wierci się na śmietanę z cukrem i mąką potem wbija się 8 żółtek, wsypuje 2 kubki rodzenków bez pestek, tyleż drobnych i migdałów siekanych, i skórki cytrynowej siekanej. Po należytem wyrobieniu ciasta, kładzie się piana z 8 białek ubita i wymięszawszy rozciąga na cal grubości w formy z papieru, wysmarowane młodem masłem.



N. 15. Aksamitka na szyję ozdobiona koronką i perełkami.



N. 16. Chusteczka na szyję związana na plecach i ozdobiona kwiatem. Przód do ryc. 17.



N. 17. Chusteczka na szyję związana na plecach i ozdobiona kwiatem. Plecy do ryc. 16.

Andruty.

Mąki kwaterka jedna, cukru 1/4 funta, jaj całych 2 i jedno żółtko, śmietanki tyle żeby ciasto rozrobić na gęstsze niż naleśnikowe, świeżego masła parę łutów, mocno wszystko wybiwszy, piec andruty i póki gorące zwijać w wałeczki.

Ciasto angielskie.

Trzy filiżanki masła sklarowanego utrzeć w chłodnem miejscu na massę, wbić piętnaście żółtek i pięć białek, wsypać w to dwie filiżanki cukru miałko utłuczonego, wymięszać, a na końcu wsypać mąki pół kwarty, wyrobić to wszystko dobrze łyżką, rozciągnąć na papier nie zbyt cienko, posypać migdałami, ułożyć na blachę i wsadzić zaraz w piec mocniej trochę napalony niż na biszkopty. W piecu nie powinno być dłużej jak kwandrans i gdy jeszcze ciasto będzie trochę miękkie, wyjąć go, pokrajać i znów go obsuszyć.



N. 18. Jesienny kapelusz z woalem.

Pierniki.

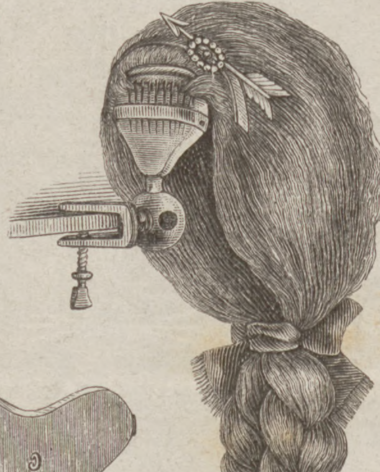
Trzy kwarty mąki pszennej, i jedna żytnej, kwarta miodu dobrze zrumienionego, pomarańczowych skórek, angielskiego ziela, goździków i cynamonu, cukru tłuczonego potrosze, potażu łyżeczkę od kawy, araku kieliszek. To wszystko zarobiwszy, bić wałkiem, robić pierniki i w piec po chlebie wsadzić.



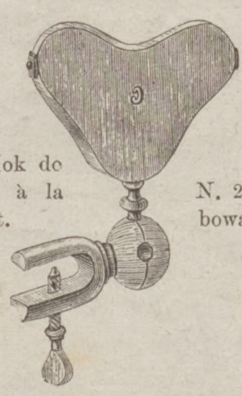
N. 19. Uczesanie à la Mozart. Patrz ryc. 20—22.



N. 21. Kok do uczesania à la Mozart.



N. 22. Kamerystka przyśrubowana do stołu i kok uczesany.



N. 23. Kamerystka do przytrzymania koka lub szynionów przy czesaniu.



N. 20. Uczesanie à la Mozart. Patrz ryc. 19—22.